POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 21-go lipca 1945r.*** | **Rok VII. Nr. 29**

TRZY DOKUMENTY

We wrześniu r. 1939 odezwał się twardy i stanowczy głos Narodu Polskiego w chwili, gdy Polska, Europa i świat stanęły w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa niosącego przemoc, bezprawie i niewolę. I dziś znowu kiedy nad kontynentem europejskim zawisły ciężkie chmury, wróżące takie same niebezpieczeństwa, przemówił w imieniu Polski silny głos protestu, skierowany przez Prezydenta R.P., Rząd R.P. i Naczelnego Wodza do Narodu Polskiego i jego żołnierzy.

Chwila, którą naczelne władze państwowe wybrały, aby wydać i ogłosić Deklarację Rządu R.P. z dn. 25 czerwca, Orędzie Prezydenta R.P. z dn. 29 czerwca i Rozkaz Naczelnego Wodza z dn. 29 czerwca b.r. nadaje tym dokumentom wagę dziejową. Nie ulega bowiem wątpliwości, że okres, który przeżywamy, zostanie zapisany na kartach naszej historii jako najczarniejszy, gdyż waży się los państwa i narodu, sprawa ich wolności i bytu. Powadze chwili odpowiada treść dokumentów.

Świat pozostał głuchy na jasną i słuszną wymowę wspomnianych dokumentów. Wskazuje na to fakt uznania t.zw. "Prowizorycznego Rządu Jedności Narodowej" w Polsce. Niestety, stało się — możemy powiedzieć z uczuciem wielkiego żalu i z goryczą doznanego zawodu. Dla nas Polaków cywilnych i wojskowych rozsianych niemal po wszystkich krajach, znaczenie tych dokumentów jest i musi być niezależne od opinii świata. Treść ich bowiem wiąże się z przeszłością, teraźniejszością i przyszłością naszego kraju i narodu, naszych rodzin i każdego z nas z osobna.

Każdy z nas uznaje, bo uznać musi, jeśli chce być w zgodzie ze swoim sumieniem i rozumem, że treść dokumentów zawiera prawdy, zasady moralności i sprawiedliwości, o które żołnierz polski i kraj walczył od początku wojny nieprzerwanie w nieugięty i bohaterski sposób.

Fakt uznania "rządu" warszawskiego nie zmienił i nie może zmienić naszej postawy zgodnej z zasadami prawa oraz z nakazami wierności, lojalności i obowiązku wobec ojczyzny i Rządu prawowitego.

Rozumiemy, że prawowity Rząd w Londynie nie przestał być prawowitym, bo opiera swój byt i ciągłość na przepisach konstytucji, a więc na zasadach, które powinny być szanowane w cywilizowanym świecie. Jest on nadal jedynym i prawym wyrazicielem woli narodu w Kraju, gdzie nie ma obecnie wolności słowa i możności przekazania nieskrępowanej woli społeczeństwa na zewnątrz, poza szczelnie zamknięte granice.

Skoro zamilkły usta w Kraju, my pozostający na obczyźnie stajemy się "ustami niemych". Spada na nas więc obowiązek mówienia prawdy o tym, co się w Kraju dzieje, aby sumienie świata nie skamieniało. Tak pojęty obowiązek nie ma nic wspólnego z propagandą antyrosyjską, której nie zamierzamy uprawiać. Nie żywimy bowiem nienawiści do Rosji i narodu rosyjskiego, broniny jedynie praw naszego państwa i narodu.

Ta obrona jest naszym prawem i obowiązkiem, skoro wbrew obietnicom i układom narzuca się Polsce ludzi obcych i idee sprzeczne z naszym światopoglądem, niweczy się wiekowy dorobek kulturalny i z trudem w ciągu dwudziestolecia zdobyte podstawy rozwoju gospodarczego.

Czegoż bowiem może się spodziewać Naród Polski po ludziach wchodzących w skład "rządu" warszawskiego? Żaden z nich nie ma mandatu z woli społeczeństwa czy nawet całego swego stronnictwa. Jedni z nich, obywatele sowieccy lub zdecydowani komuniści z Polski, będą strzegli interesów mocarstwa, którego są agentami i będą wykonywali ślepo rozkazy.

Drudzy, ci z kraju i z Londynu ludzie, którzy prawdopodobnie stracili wiarę, nie będą mogli przeprowadzić żadnej zasadniczej i zbawiennej dla państwa sprawy bez zgody pierwszych a raczej N.K.W.D. i partii komunistycznej. A nade wszystko, czy sądzą, że za cenę uległości wobec Rosji zdołają zabezpieczyć wolność, niepodległość i sprawiedliwe granice dla Polski. Czy mogą wiedzieć, gdzie jest kres roszczeń do Polski i czy po chwilowych ustępstwach nie stanie się ona którąś z rzędu republiką sowiecką?

Ogromna większość Polaków była gotowa — i jest gotowa — zapomnieć o ogromnych krzywdach i ofiarach własnych i społeczeństwa i ofiarować Rosji prawdziwą przyjaźń, byle przestała nas gnębić, wywozić, mieszać się w nasze sprawy czysto wewnętrzne i pozostawiła Polsce wybór własnego ustroju i rządu oraz możliwości swobodnego rozwoju politycznego, kulturalnego i gospodarczego.

Tymczasem widzimy same przeciwieństwa. Przeszczepia się idee, instytucje i zwyczaje, które w następstwie prowadzą do systemu sowieckiego w Polsce.

Mamy nasze pojęcia o demokracji, wolnościach obywatelskich, samorządzie lokalnym, wymiarze sprawiedliwości, bezpieczeństwie publicznym, o wychowaniu młodzieży i wojska oraz ustalone poglądy na inne sprawy, posiadające zasadnicze znaczenie w życiu państwa, społeczeństwa i jednostki.

Pojęcia i poglądy nasze są oparte na wzorach i doświadczeniach zachodnio-europejskich. Nikt rozsądny nie powie, że na Zachodzie wszystko jest doskonałe czy nawet dobre.

Ale trudno pogodzić z pojęciem demokracji stale spotykaną na posiedzeniach Krajowej Rady Narodowej i anonsowaną przez radio lubelskie jednomyślność uchwał tej Rady lub rad lokalnego samorządu. Jest to dowodem, że nikt nie wypowiada przeciwnego zdania, ponieważ nie byłoby to tolerowane. Nie ma więc mowy o wolności słowa i przekonania. Jeszcze jaskrawszym dowodem braku wolności jest uprzywilejowanie partii komunistycznej, która mimo że w Polsce stanowi znikomą mniejszość, posiada większość 3/4 w "rządzie" warszawskim, i w radach samorządów lokalnych.

Rażącym zaprzeczeniem wolności i zasadom zdrowej organizacji służby bezpieczeństwa publicznego jest wprowadzenie systemu policyjnego i doniosicielstwa, w którym obywatel żyje w ciągłej obawie, że jutro czy kiedyś i niewiadomo za co znajdzie się w więzieniu, obozie lub w głębi Rosji.

Tych kilka przykładów świadczy jak dalece różnią się nasze pojęcia i że wyrównywanie tych różnic drogą stosowanego przymusu doprowadzi w końcu do zaniku świadomości odrębności narodowej oraz do zniszczenia całego dorobku we wszystkich dziedzinach życia narodowego.

A nasz dorobek, to nie tylko dzieła nauki, literatury, malarstwa i muzyki, osiągnięcia na polu ubezpieczeń społecznych i w dziedzinie gospodarczej, tradycje wiekowe znajdujące swój wyraz w umiłowaniu wolności, w zwyczajach i obyczajach, lecz także nasz charakter ze wszystkimi jego zaletami, który urabiała przyroda, położenie geograficzne kraju, religia, dom i życie.

Tym dorobkiem się szczycimy, bo własny, bo zdobyty ciężką pracą i z wielkim mozołem oraz w ciągłej walce z sąsiadami grożącymi nam zagładą. Chcemy nareszcie żyć w spokoju i na stopie pokojowej współpracy, zwłaszcza z Rosją i pracować nad odbudową zniszczonego kraju oraz nad podniesieniem kultury i dobrobytu wszystkich klas, lecz chcemy tego dokonać według wypracowanych przez siebie planów i programów.

Jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że żyjemy w czasach przełomowych, że idą nowe idee, które wymagają mniej lub więcej gruntownych reform w całym naszym życiu państwowym oraz ugruntowania należytego pojmowania służby dla dobra publicznego i odpowiedzialności jednostkowej i zbiorowej za działalność osobistą i losy państwa. Żeśmy zrozumieli te nowe czasy, że jesteśmy świadomi konieczności naprawy wielu wad i zaniedbań, świadczy uchwała Rady Jedności Narodowej z r. 1944. Zawiera ona bardzo szeroko opracowany program reform ustrojowych, społecznych i gospodarczych, program wychowania i prowadzenia powszechnej oświaty i dobrobytu, a na czele wszystkiego plan przebudowy ustroju rolnego /t.zw. reforma rolna/.

A więc nie ma nic nowego w tym co głosi "rząd" warszawski, istnieje tylko różnica w praktyce tego "rządu", odbiegającej od haseł i zasad głoszonych oficjalnie a wykonywanych niezgodnie z zasadami prawa i sprawiedliwości. Można być bardzo radykalnym reformatorem i dążyć do szybkiego urzeczywistnienia koniecznych i zbawiennych idei, ale musi się pozwolić na wypowiedzenie opinii wszystkim obywatelom, a więc i tym, którzy mają inne zdanie.

Jest to wymóg prawdziwej wolności i demokracji, na tym można budować nowy porządek prawny, jednaki dla wszystkich, bez przywilejów, ale i bez krzywdy tych, którzy przy równych szansach dyskusji i głosowania zostaną zwyciężeni większością głosów w ciele ustawodawczym.

Do tego jednak potrzeba, abyśmy mogli się stać prawdziwymi gospodarzami na własnej ziemi. Pierwszym warunkiem naszego stanowienia o sobie jest, aby legalne władze państwowe miały możność przekazania wszystkich swych uprawnień w ręce rządu, który zostanie wybrany w drodze wolnych, nieskrępowanych wyborów, dokonanych przez wszystkich obywateli polskich i tylko polskich.

Taki jest sens dokumentów powołanych na wstępie, takie jest i powinno być stanowisko wiernych Krajowi obywateli. Naturalnie wszyscy obywatele cywilni i wojskowi musieliby najpierw powrócić do kraju bez względu na to, czy są zwolennikami legalnego Rządu w Londynie czy narzuconego "rządu" w Warszawie.

Czy jest to jednak możliwe wobec warunków stworzonych przez władze sowieckie na naszej ziemi? Nikt nie wątpi, że odpowiedź może być tylko przecząca, bo "rząd" narzucony nie zechce ustąpić, prawowity Rząd zaś w Londynie nie może ustąpić bez zgody ogółu obywateli w Kraju i na obczyźnie.

Niebezpieczeństwo grożące naszej wolności jest jedno i wszędzie w Polsce jednakie, to znaczy zarówno na ziemiach zachodnich i wschodnich jak centralnych i południowych. Obywatel polski stanie wszędzie wobec tego samego systemu, któremu musi się poddać z uległością, albo ponieść następstwa, na jakie narazili się wszyscy, którzy walczyli w Armii Krajowej o prawdziwą wolność, o wcielenie nowych i własnych idei w życiu Polski. Może stanąć przed sądem obcym, jak ci, co zostali oskarżeni i zasądzeni w procesie moskiewskim albo i bez sądu odpowiadać za to wyłącznie, że spełnił obowiązek wobec Kraju i walczył o jego wolność z wrogiem odwiecznym, wspólnym nam i Rosji.

Pozostaje więc jedyna droga, dalsza służba w obronie wolności, wskazana przez naczelne władze państwowe. Dla żołnierzy rozkaz Naczelnego Wodza będzie nakazem chwili i drogowskazem na przyszłość, w którą wierzymy, jak wierzyli ci, co przed nami walczyli o wolność Kraju i przekazali nam tradycje w nieśmiertelnych słowach hymnu narodowego: "Jeszcze Polska nie zginęła".

STANISŁAW RODOWICKI

JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA . . .

Znowu została nam tylko ta pieśń. Lecz to nie jest mało. Jest w niej bowiem nie tylko miłość, wiara i nadzieja, które są najpotężniejszymi pędami życia, ale i prawda, która jest życia ostoją najpewniejszą. Wiodła ona, od półtora wieku, pokolenie za pokoleniem, gdy wszystko zdało się stracone.

Jest właśnie w tych dniach rocznica tej pieśni. Powstała ona bowiem w końcu lipca lub w sierpniu 1797, wśród wojska polskiego we Włoszech, gdy po trzecim rozbiorze z r. 1795 kraj cały był w niewoli. Teraz znowu jest wojsko polskie na ziemi włoskiej i na innych ziemiach obczyzny i znowu kraj jest od sześciu lat w niewoli.

Jak ona powstała, nikt tego nie pojmie lepiej, żywiej, wyraziściej, niż żołnierze i tułacze dzisiejsi. Była jedną z wielu. A wszystkie rodziły się wówczas, jak dzisiaj, z tegosamego czynu, woli i celu, jak to już przed stu laty objaśniał Stefan Witwicki:

"Poezja ta była całkiem w czynie. Zamiast liter miała wystrzały i cięcia, rymami u niej były bez granic jedne po drugich zwycięstwa, a ogólną treścią jej było poświęcenie się bez granic dla Ojczyzny. Każdy prawie batalion i każdy prawie szwadron miewał własnego rymotwórcę. W każdej ich piosnce i dumie była mowa o Polsce. Czy poeta opiewał zwycięstwo swego pułku, czy też zgon swoich przyjaciół, nie wymagano od niego ani nadzwyczajnych pomysłów, ani świecących wygładzeniem wierszy; aby u wszystkich oficerów, podoficerów i żołnierzy używał wziętości i sławy autorskiej, dosyć mu było wyrazić z wiarą tę prostą a wielką myśl narodową: tu o to chodzi, że Polska być musi".

Gdy więc Józef Wybieki napisał jedną z tych piosnek żołnierskich, która poszła w świat z melodią Michała Ogińskiego, nie było w jego zamiarze ni w świadomości, stworzenie powszechnej pieśni narodowej. Stała się nią dopiero, gdy zabrzmiała, gdy obiegła legiony, gdy dotarła do kraju. Nie powstała jako pieśń narodowa lecz się nią stała i nie dano jej tej nazwy z urodzenia lecz ją zdobyła. To jest jej świadectwo najchlubniejsze i najrzetelniejsze.

Nie tylko bowiem sercom przypadła, lecz trafiła w sedno myśli tysięcy i milionów. Józef Wybicki, pisarz i poseł Sejmu Czteroletniego, żołnierz Kościuszki i następnie wygnaniec — naprawdę vates, miles, exul *w pełni — w sile wieku pięciu krzyżyków i w harcie przeżyć i doświadczeń doby wielkiej i twardej, miał w duszy tę tajemnicę twórczą prostą i wielką: widział, czuł, rozumiał. Więc nie rzekł lecz krzyknął od pierwszych zaraz słów prawdę prawd:*

Jeszcze Polska nie umarła
Kiedy my żyjemy,
Co nam obca moc wydarła
Szablą odbierzemy

Ta pierwsza zwrotka — /tak napisana własnoręcznie przez Wybickiego a po jakichś dziesięciu latach w czasie Księstwa Warszawskiego przyjęta w brzmieniu dzisiejszym/ — mówi wszystko.

"Jest tu treść i istota polskiego sumienia" — powiedział Stanisław Witkiewicz w r. 1905, a Ignacy Chrzanowski w r. 1922 treść tę określił: "Pewność odzyskania wolności oparta na wierze we własną siłę narodu".

Dźwignią jednak tej pewności jest czyn w łączności z całym narodem tam w Polsce — /wówczas jak dzisiaj!/ — i dlatego ta część pierwszej zwrotki, która to mówi, staje się wracającym we wszystkich nieustannym tętnem tej pieśni natchnionej:

Marsz, marsz Dąbrowski
Do Polski z ziemi włoskiej,
Za Twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Miała ona dotrzeć do kraju, ku któremu — /wówczas jak dzisiaj/ — zwracały się myśli w każdej chwili, a zwłaszcza gdy krzepły w obrazy słów i zwrotek:

Mówi ojciec do swej Basi
Cały zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.

Tak jak teraz tam nasłuchują.

I cel ten sam — /a nawet w kolejności tej samej/ — wówczas i dzisiaj:

Niemiec, Moskal nie osiędzie,
Gdy, jąwszy pałasza,
Hasłem wszystkich zgoda będzie
I Ojczyzna nasza.

Cel ten sam i ta sama ku niemu droga jedności narodu.

Pieśń, zdawało by się, tak prosta i samorzutna jak tylko być może, zapewne dlatego właśnie wytryska z rdzenia duszy narodowej, ogarnia cały widnokrąg, zmierza z mroku ku światłu.

Jest różna od innych pieśni narodowych jak różne są narody.

Francuska Marsylianka, o pięć lat tylko od naszej pieśni starsza, także w ogniu walk wykuta, jest śpiewem uniesienia ku chwale narodu w miłości Ojczyzny i wolności: Le jour de gloire est arrivé, amour sacré de la Patrie, liberté, liberté chérie. *Utrwalona zwycięskimi doświadczeniami świadomość bezpieczeństwa, które daje władanie morzami, jest wątkiem brytyjskiego:* Rule, Britania, Britania rules the waves. *Wyniesienie Niemiec ponad wszystko w świecie wyraża się w niemieckim:* Deutschland, Deutchland über alles, über alles in der Welt.

A nasza pieśń to zmysł i zew życia przeciw nastającej zagładzie.

W tej pieśni bez skazy nie ma wielkich słów. Ale jest prosta prawda, jasna myśl, nieugięty duch. Mówi ona wszystko.

To nie pieśń, lecz zdarzenie ciągłe i żywe, nieustanne tętno bytu narodowego.

Gdziekolwiek dziś jesteś, Polaku, zapytany o pogląd polityczny w dzisiejszej zamieci pojęć, odpowiedz:

—Jeszcze Polska nie zginęła!

Wszędzie w świecie cię zrozumieją i będą wiedzieli gdzie stoisz.

STANISŁAW STROŃSKI

Przegląd tygodniowy

O SOJUSZACH

Z dawna oczekiwane narady Wielkiej Trójki rozpoczęły się w bieżącym tygodniu. Jest to po Teheranie w grudniu 1943 i Jałcie w lutym b.r. trzecie spotkanie przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Rosji.

Spotkanie to odbywa się nie tylko w zmienionym w stosunku do poprzednich składzie, ale i w zmienionych warunkach. Wojna z Niemcami, która była dotychczas głównym przedmiotem narad — jest skończona. Zagadnienia z dziedziny strategii ustępują miejsca sprawom organizacji świata. Trzy mocarstwa starają się znaleźć w nim dość miejsca dla siebie, zorganizować go tak, by ich wzajemne interesy i dążenia nie ścierały się ze sobą. To jest istota obecnej narady. Wszelkie rozstrzygnięcia, jakie zapadną w różnych sprawach europejskich, czy pozaeuropejskich — służyć będą temu właśnie celowi.

Sojusz stworzony dla celów wojny i wywołany przez wojnę, próbuje obecnie przetrwać ją, przystosować się do zmienionych okoliczności, zająć się sprawami pokoju. Każdy tego rodzaju sojusz był zawsze pojęciem najściślej związanym z wojną i jej zadaniami. Stajemy więc wobec próby nie mającej, raczej, precedensów.

CO UCZYNI ROSJA?

Wiele rzeczy wydaje się jednak wskazywać, że Wielka Trójka może się znów przerodzić w sojusz wojenny. Według bowiem powszechnie panującej opinii wojna na Dalekim Wschodzie stać się ma jednym z głównych przedmiotów narad Trumana, Churchilla i Stalina. Jest to temat nowy, który dotychczas nie był, oficjalnie przynajmniej, dyskutowany przez przedstawicieli trzech mocarstw — Rosja bowiem nie bierze udziału w wojnie z Japonią, zachowując neutralność. Czy przystąpi ona obecnie do tej wojny? Wiele krąży na ten temat domysłów i przypuszczeń — trudno jednak spodziewać się jakichś konkretnych wiadomości przed zakończeniem narady.

Dążenia Rosji na Dalekim Wschodzie są znane. Dotyczą one Mandżurii, zewnętrznej Mongolii, Korei i Portu Artura. Rosja nie ukrywała swego zainteresowania sprawami Chin i rządy marsz. Czangkaiszeka były od dłuższego czasu przedmiotem ataków propagandy sowieckiej, oskarżającej je o reakcyjną politykę wewnętrzną i nieudolność w prowadzeniu wojny.

Obecnie w stosunkach między Rosją a Chinami nastąpiła pewna zmiana, której wyrazem są rokowania prowadzone w Moskwie między generalissimusem Stalinem, a premierem chińskim dr. Soong. Temat tych rozmów nie został ujawniony, a w oficjalnym komunikacie oświadczono jedynie, że dotyczyły one "zagadnień najwyższej wagi". Nie ulega jednak kwestii, że dyskusje Stalin-Soong związane były głównie z przyszłością Mandżurii i zewnętrznej Mongolii.

ROSJA I CHINY

Rozmowy te nie dały żadnych określonych rezultatów i przerwano je wobec wyjazdu Stalina do Poczdamu. Jednocześnie dr. Soong udał się do Czunkingu na narady z Czungkaiszekiem.

Obecnie sytuacja przedstawia się dość zagadkowo. Dr. Soong w swych rozmowach moskiewskich miał za sobą niewątpliwe poparcie Stanów Zjednoczonych, dążących do osiągnięcia jakiegoś układu między Chinami, a Rosją. W jakim jednak stopniu ewentualny kompromis, co do którego wyraził gotowość, idzie po linii dążeń chińskich kół wojskowych, posiadających nadal w Chinach potężne wpływy? Zwraca uwagę fakt, że w czasie trwania rozmów moskiewskich, chiński minister spraw wojskowych wygłosił w Czunkingu przemówienie, w którym przypomniawszy, że zbliża się moment odbicia prowincji północno-wschodnich wraz z Mandżurią — oświadczył: "Północny wschód, gdzie rozpoczął się chiński ruch oporu jest częścią obszaru chińskiego i pozostanie nim po wojnie". Trzeba przyznać, że jako akompaniament do rozmów moskiewskich — nie brzmi to zbyt kompromisowo.

Misję dr. Soonga należy więc rozpatrywać na tle panującej w Chinach sytuacji wewnętrzno-politycznej. Jeśli będzie on bronić jakiegoś, zaproponowanego mu w Moskwie kompromisu, otrzyma niewątpliwie poparcie komunistów z Jenanu oraz — w pewnym ustalonym zakresie — Stanów Zjednoczonych. Spotka się natomiast ze sprzeciwem wpływowych kół wojskowych. Decyzja spocznie więc znowu w rękach Czangkaiszeka.

Tymczasem, mimo pewnych niewątpliwych ustępstw ze strony Kuomintangu, który jest partią rządzącą, na rzecz demokratyzacji kraju — komuniści nie tylko nie zmienili stanowiska wobec rządu, lecz je zaostrzyli. Ich odmowa wysłania delegatów do politycznej rady ludowej, która zebrała się w tym miesiącu, jako zalążek przyszłego parlamentu chińskiego — nie była niczym usprawiedliwiona i zmierzała wyłącznie do utrudnienia sytuacji, zwalczanego przez nich rządu. Jednakże reformy wprowadzane przez rząd sięgają dość głęboko, a sytuacja na froncie uległa znacznemu polepszeniu na korzyść Chin. Propaganda przeciw "antydemokratycznym i nieudolnym rządom" napotykać więc będzie na poważne, rzeczowe trudności.

Udział Rosji w wojnie z Japonią zależeć będzie w dużym stopniu od rozmiaru jej żądań w stosunku do Chin i możliwości zaspokojenia tych żądań. A to z kolei uwarunkowane jest nie tylko stanowiskiem Chin, niezbyt zresztą skłonnych do ustępstw, lecz i Stanów Zjednoczonych, które na terenie Chin posiadają żywotne i tradycyjne interesy.

WOJNA NA PACYFIKU

Wojna na Pacyfiku nie budzi oczywiście ze zrozumiałych względów w Wielkiej Brytanii i w Europie tego zainteresowania, co wojna z Niemcami. Tuż po zakończeniu wojny z Niemcami zapanowała fala optymizmu co do możliwości szybkiego zakończenia wojny z Japonią. Wiele obiecywano sobie po zmianie rządu japońskiego i pewnych wypowiedziach nowego premiera. Smutny koniec niemieckiego sojusznika musiał wywołać w Japonii niewątpliwie duże wrażenie, do którego pogłębienia przyczyniła się jeszcze perspektywa przerzucenia przez sprzymierzonych potężnych sił z Europy na Pacyfik.

Zacięty opór Japończyków rozwiał jednak te przedwczesne nadzieje kapitulacji Japonii i po drugiej stronie Oceanu rozległy się głosy ostrzegające przed zbytnim, nieuzasadnionym optymizmem. Nadal jednak istnieje przekonanie, że przy pewnych zmianach formuły bezwarunkowego poddania — wciąż jeszcze istnieje szansa szybkiego zakończenia wojny na Dalekim Wschodzie. W niektórych kołach utrzymuje się nawet pogląd, że sam fakt przystąpienia Rosji do wojny otworzyłby rządowi japońskiemu drogę do kapitulacji pod pretekstem, że "Japonia nie może sama walczyć z całym światem".

Tymczasem jednak wojna na Pacyfiku trwa z olbrzymią zaciętością i Japończycy ponoszą coraz potężniejsze ciosy. Po bombardowaniach lotniczych Japonii na skalę frontu zachodniego przyszła kolej na ostrzeliwanie japońskiego wybrzeża ogniem artylerii okrętowej. Miasto Mamaiszi, ośrodek japońskiego przemysłu zbrojeniowego znajdowało się przez dwie godziny pod ogniem dział okrętów amerykańskich.

Pomijając zniszczenia, które, jak zresztą Japończycy przyznają, są bardzo poważne, należy podkreślić znaczenie tego wyczynu floty amerykańskiej. Świadczy on o olbrzymiej przewadze morskiej, osiągniętej dzięki wielu wspaniałym zwycięstwom nad flotą japońską. Dowodzi również poważnego osłabienia lotnictwa japońskiego. W ciągu dwu godzin trwającego ognia nie ukazał się ani jeden samolot japoński.

NOWE OPERACJE

Ta operacja oceniona została w Stanach Zjednoczonych, jako pierwsza przygrywka do potężnych operacji inwazyjnych. Nie wiadomo jednak w jakim pójdą one kierunku. Wymienia się przeważnie same wyspy japońskie, albo półwysep malajski, a w szczególności Singapore. Operacje na Borneo rozwijają się pomyślnie, mimo zaciętego oporu stawianego przez Japończyków. Po sukcesach pod Balik Papan sprzymierzeni posuwają się pięciu kolumnami w głąb wyspy. Ich operacje poprzedzane są miażdżącym ogniem artyleryjskim.

Najbliższa przyszłość przynieść więc może jakieś poważne decyzje na Pacyfiku. Przewiduje się, że poprzedzone one zostaną daleko idącymi zmianami w dowództwie alianckim i wielkimi ruchami wojsk.

Nie ulega jednak wątpliwości, że ewentualne przystąpienie Rosji do wojny z Japonią miałoby dla tej wojny zupełnie rozstrzygające znaczenie i zmieniłoby całkowicie jej charakter. Rosjanie nie tylko zaangażowaliby olbrzymie siły japońskie na Dalekim Wschodzie, ale z ich baz lotniczych położonych w pobliżu wybrzeża japońskiego lotnictwo amerykańskie mogłoby po prostu zmiażdżyć "kraj wschodzącego słońca". Japonia nie miałaby dalszych szans jakiejkolwiek obrony.

Sprawa ta, jak dotąd leży jednak wyłącznie w sferze domysłów i zagadek. Ich rozwiązania świat oczekuje od odbywającej się konferencji Wielkiej Trójki.

ZASTĘPCA

Poradnik żołnierski

"Ciekawy" i Władysław S.

Odpowiedź, którą Pan otrzymał w jednym z ostatnich numerów "Polski Walczącej" jest oparta na istotnym stanie rzeczy. Dotychczas nic nie zmieniło się w sprawach, o które Pan pyta. Informacje otrzymane przez Pana czy Kolegów rzekomo z *War Office*, niestety, muszę określić jako nieodpowiadające prawdzie.

Nie na wszystkie pytania można od razu udzielić odpowiedzi. W zasadzie wszystkie muszą czekać swojej kolejki. Na niektóre, ważniejsze i pilniejsze, udziela się odpowiedzi wcześniej. Stosownie do życzenia wyjaśniam:

1/ Dodatków instruktorskich i funkcyjnych w Centrach Wyszkoleniowych nie ma i nie przewiduje się ich.

2/ Pyta Pan o sprawę podwyżki żołdu od 1943 r., rozumiem, że ma Pan na myśli dodatek t.zw. wojenny dla armii lądowej, gdyż dla marynarki i lotnictwa zostały wypłacone. Od przeszło 9 miesięcy toczą się w tej sprawie pertraktacje z *War Office*. Odkładanie ostatecznego załatwienia następuje z tego powodu, że *War Office* po otrzymaniu jednych, żąda nowych wyjaśnień, bo po upływie pewnego czasu, znów prosi o dalsze. Żadnych decyzji dotyczących przekazania Polskim Władzom Wojskowym odpowiedniej kwoty na opłatę dodatków *War Office* dotychczas nie powziął. Sprawa więc, która Pana i zapewne wszystkich żołnierzy interesuje jest wciąż *"under consideration War Office'u"*.

3/ Na razie nie przewiduje się demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych. Nie mniej zdaję sobie sprawę, jak ważne dla Pana jest wiedzieć, jakie pieniądze otrzyma Pan przy zdemobilizowaniu. Niestety nie mogę Panu dać w tej sprawie żadnej konkretnej odpowiedzi, ponieważ brytyjski *War Office* nie wypowiedział się jeszcze, czy w stosunku do Polskich Sił Zbrojnych będą obowiązywać te same przepisy demobilizacyjne co w Armii Brytyjskiej.

4/ Oficer nie ma prawa do bezpłatnego pobytu w szpitalu, o ile choroba nie powstała na skutek zranienia w walkach i nie ma nic wspólnego z użyciem broni, lub sprzętu wojennego /uszkodzenie nie z własnej winy/ oraz o ile cierpienie nie zostało nabyte na terenie Basemu Śródziemnomorskiego.

5/ Oficerowi przysługuje jeden dodatek na umundurowanie z chwilą nominacji na podporucznika. Niezależnie od tego w dniu 1.IV.44 r. wypłacono specjalny dodatek dla wszystkich oficerów.

Nowości lotnicze

Mr. Leo Crowley złożył właściwie smętny raport Komisji dla Spraw Wojskowych Senatu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Treścią tego raportu było suche stwierdzenie faktu, że siła Niemiec mimo klęski pozostaje w dalszym ciągu niezmniejszona, jakkolwiek w tej chwili nie są one w stanie prowadzić wojny. Jednak pozostawione same sobie, w ciągu pięciu lat mogą się znowu stać pełnowartościową potęgą.

Nie jest to jedyny raport tego rodzaju. Pierwszym dzwonkiem był podobny artykuł napisany przez nieznanego autora p.t. *"Future Strength of Germany"* /Przyszła siła Niemiec/ w bardzo poważnym miesięczniku politycznym wydawanym pod angielską firmą w Ameryce *"Harpers Magazine"*. Tu autor starał się wykazać, że cokolwiek się z nimi stanie, Niemcy zawsze pozostaną potężne dzięki surowcom i możliwościom przeróbki surowców.

Nieraz na tym odcinku powtarzaliśmy ostrzeżenie, że nie należy zbytnio ufać nawet najbardziej silnemu i najbardziej ciągłemu bombardowaniu. Niewątpliwie bombardowanie z powietrza przyczyniło się do klęski Niemiec, lecz istotnej siły tego kraju — nie było w stanie zniszczyć. Fabryki niemieckie leżą w ruinach, lecz nie w tym stopniu, w jakim wydawać by się mogło. Cała masa przemysłów istnieje nienaruszona i co ważniejsza znajduje się w pełnym ruchu /dotyczy to szczególnie przemysłu chemicznego/. Także wytwórnie pochodnych węgla, czy aluminium nie zostały zniszczone. Są unieruchomione — lecz nic więcej.

Zdaniem fachowców jest tylko jeden sposób zwyciężenia i pozbawienia Niemiec roli górującej nad gospodarką krajów środkowo-europejskich: polega on na podniesieniu potencjału ekonomicznego krajów otaczających Niemcy. Jak zwykle i jak zawsze tajemnica zwycięstwa leży w twórczej pracy, nie zaś w niszczeniu . . . Lotnictwo bombowe dokonało dzieła wojny, lecz nie ono jest powołane do dzieła pokoju.

Jesteśmy świadkami wejścia w nową erę silnikową. Nasze pokolenie było świadkiem zmierzchu ery pary i przyjścia na świat i rozwoju silnika spalinowego. Początek nazywał się Daimlerem — ostatni wyraz brzmi — Bristol-Centaurus; półtora konia parowego i 3000 H.P.-Bristol-Centaurus, silnik 18-to cylindrowy, tłokowy, gwiaździsty w chwili swego narodzenia już stał się silnikiem przestarzałym.

Silnikiem dnia dzisiejszego i przyszłości jest silnik termiczno-strumieniowy: nieskomplikowany, lekki, bez tłoków, szczyt prostoty przy olbrzymiej sile wydajności energii. Silnik termiczno-strumieniowy ma jeszcze jedną niecodzienną właściwość, bardzo charakterystyczną dla naszej epoki, szukającej standartów: o ile silnik spalinowy przybierał rozmaite formy i w każdym kraju produkującym odmienne znajdował rozwiązanie, znacznie różniące się od siebie kształtem, sposobem chłodzenia, sposobem doprowadzania paliwa do cylindrów, przenoszenia energii — o tyle, jak dotychczas rzecz się ma, silnik termiczno-strumieniowy nie będzie znał owych różnic. Naturalnie różnice będą, lecz jedynie w drobnych szczegółach, lecz nie w szczegółach zasadniczych. Silnik ten rozwijał się w sekretnych działach fabryk rozmaitych krajów niezależnie od siebie, a jednak po porównaniu wszystkich doświadczeń okazało się, że właściwie wszyscy doszli do tej samej formy rozwiązania. Zwycięstwo Aliantów ujednostajniło jeszcze bardziej te wysiłki, które stały się wspólną własnością wszystkich wytwórców świata. Przypuszczać należy, że w najbliższym czasie przemysły silnikowe będą iść krok w krok po równej linii, zwycięstwa zaś nie będą nawet o przysłowiową głowę.

By ów silnik całkowicie wypchnął silniki tłokowe wystarczy znaleźć jeszcze jedno rozwiązanie: oszczędnościowego spalania paliwa. Gdy to się stanie, triumf jego będzie pełny, choćby nawet ze względów bezpieczeństwa, gdyż jest to silnik niezawodny. Najlepszym dowodem niezawodności silnika są latające bomby. Zanotowano wiele usterek tego nowego a groźnego sprzętu wojennego, lecz nie zanotowano nigdy defektów silnikowych.

Przy tej sposobności zauważyć należy, że latające bomby będą miały w przyszłości bardzo poważne zastosowanie: listonoszów na duże odległości. Wysyłane n.p. z Ameryki do Angli, połowę drogi będą mogły odbywać kierowane radiowo z brzegów amerykańskich, nad drugą połową czuwać będą radiotechnicy z Wielkiej Brytanii, ściągając "ślepograta" w to miejsce i na to lotnisko, na które tylko żywnie im się będzie podobało. Przy tym wszystkim zasada *"Safety First"* /bezpieczeństwo przede wszystkim/ będzie utrzymana w znacznie większym stopniu niż dotychczas, bowiem narażony będzie towar nie zaś życie ludzkie.

Obecny stan rzeczy bynajmniej nie wskazuje na to, by życie międzynarodowe ułożyło się zadawalająco dla całości świata. Mimo to przypuszczać należy, że potrzeby wspólnoty wszechświatowej podwyższone przez rozwój środków komunikacyjnych, narzucą jakiś system międzynarodowy, który w końcu zapanuje na całym globie. Obserwatorzy współczesnego życia wskazują ciągle na błąd zasadniczy, który powtarza się stale we wszystkich próbach rozwiązywania sprawy międzynarodowego pokoju: rozmaite San Francisco, rozmaite Jałty, Teherany, Berliny bez ustanku dążą do ujęcia wspaniałego oddechu naszej epoki, sięgającego poprzez morza i lądy, poprzez granice naturalne i sztuczne w jakieś ramy zamierzchłych systemów ubiegłej epoki kongresów wiedeńskich. Twórcy coraz to nowych pomysłów pomijają czynniki, które dziś odgrywają nadrzędną rolę i nie dadzą się ominąć, jak choćby n.p. szerokie polityczne uświadomienie mas ludzkich, czy olbrzymi postęp techniczny środków komunikacji, który skazał na współżycie narody, choćby najbardziej od siebie odległe. Być sąsiadem — nie oznacza to dzisiaj, że się jest sąsiadem fizycznym jakiegoś kraju. Oznacza to dziś potrzebę wymiany dóbr duchowych, czy konieczność wymiany dóbr wyprodukowanych. Przestrzeń fizyczna wyrównał samolot, przestrzeń między ustami a uchem, choćby najdalszą — radio. Rosnący głód wiedzy i poznania prawdy pogłębia znaczenie nowych wynalazków technicznych.

W czasopiśmie brytyjskim, poświęconym sprawom lotnictwa cywilnego, znajdujemy w numerze z 6 lipca list P. F. M. Fellowes'a, który warto choćby w wyjątkach zacytować, jako przykład tego, co o przyszłości światowej myśli przeciętny obywatel brytyski. Mr. Fellowes niewątpliwie upraszcza sprawę i przechodzi do porządku nad polityką poszczególnych narodów, jednak idee wysunięte przez niego są w zasadzie słuszne.

" . . . Przypuszczam — pisze autor listu — że już dzisiaj można by zacząć organizację międzynarodowej, a raczej nadnarodowej policji lotniczej. Rzecz się stać może w drodze umiędzynarodowienia baz lotniczych, przede wszystkim techniczej i administracyjnej służby naziemnej przy równoczesnym umiędzynarodowieniu baz lotniczych położonych na najważniejszych trasach lotniczych świata. W tym wypadku narody muszą się zgodzić, by owe bazy zostały wyłączone, jako eksterytorialne. Podobne rozwiązanie byłoby korzystne dla każdego narodu, zaś opory przeciw podobnemu rozwiązaniu napewno by ustały po krótkim praktycznym doświadczeniu . . .

. . . Umiędzynarodowienie, a raczej postawienie baz lotniczych w położenie eksterytorialne nie wyłączałoby bynajmniej wolnej konkurencji poszczególnych narodowych linii komunikacyjnych . . . Z chwilą zainstalowania nadnarodowych baz i obsługi baz, stworzenie lotniczej policji ponadnarodowej byłoby rzeczą prostą i nieskomplikowaną . . ."

Rzecz jasna zgadzamy się całkowicie z autorem tego listu. Lecz musimy szczerze stwierdzić, że po to, by stworzyć podobnie prostą i pożyteczną rzecz, należy u wszystkich narodów znaleźć, nie tylko pełne zrozumienie potrzeb ludzkości, lecz również podejście do tych potrzeb z dobrą wolą. Jak długo choćby jeden z partnerów naszego świata nie będzie miał dobrej woli, autor listu może mieć jeszcze wiele przykrych zawodów. Nieraz już widywaliśmy jak rzeczy proste i same przez się zrozumiałe stawały się trudne skomplikowane, jak sprawy ogólnego pokoju i twórczego życia przemieniały się w sprawy osólnej wojny i powszechnego zniszczenia.

Jednak wierzymy mocno, że istota rzeczy jest silniejsza od wszelkich względów pobocznych. Potrzeba ludzkości zwalcza prędzej czy później zatory sztucznych hamulców. Idea wspólnego życia stała się dziś potrzebą dnia, rzeczą równie konieczną jak pożywienie, czy sen. Zresztą jak długo się nie urzeczywistni, nikt na Bożym świecie ani spokojnego snu, ani dostatecznego jedzenia mieć nie będzie.

Czy prędzej czy później samolot odegra rolę, do której został wymyślony, zbudowany i ulepszony: rolę świętego łącznika. Jeżeli mu zaś kto drogę jego przeznaczenia zagrodzi, pozna niebawem, że nie jest rzeczą bezpieczną zatrzymywać anioła w locie.

Polska odegra swą rolę wielkiej centrali lotniczej Europy, stacji rozdzielczej komunikacji między Europą, Azją i Afryką. Nie będzie zaś, jakby chcieli niektórzy, lądowiskiem granicznym dla kontroli paszportów . . . Taki musi być legiczny rozwój wypadków kierowanych potrzebą podporządkowania się tym nowym warunkom bytu, jakie wytworzył rozwój lotnictwa.

M. J. GORDON

Z tygodnia na tydzień

9 lipca: P.A.T. ogłosił tekst noty protestacyjnej złożonej w dniu 6-go lipca b.r. przez Ambasadora Raczyńskiego w brytyjskim Foreign Office. Analogiczne noty zostały złożone rządom Francji i Stanów Zjednoczonych oraz tym wszystkim, które uznały t.zw. "Rząd Jedności Narodowej".

10 lipca: P.A.T. ogłosił rozkaz gen. Wł. Andersa do żołnierzy II-go Korpusu W.P. wydany w dniu 6-go lipca b.r., w którym Generał powiedział m.in.: "Zostaliśmy w tej chwili jedyną cząstką narodu polskiego, która ma możność i obowiązek głośnego wyrażania swej woli i właśnie dlatego trzeba, abyśmy słowem i czynem dziś stwierdzili, że jesteśmy wierni naszej przysiędze żołnierskiej, wierni naszym obywatelskim obowiązkom względem ojczyzny, wierni testamentowi naszych poległych towarzyszy broni, którzy bili się i umierali w imię Polski niepodległej, całej i naprawdę wolnej . . . Kto ma nieugiętą wolę walki o życie i prawo musi w końcu zwyciężyć . . ."

11 lipca: Ogłoszono, że Rząd Belgijski uznał t.zw. "Rząd Jedności Narodowej".

—Kardynał August Hlond, Prymas Polski opuścił Włochy, udając się do Kraju.

12 lipca: Brytyjskie i amerykańskie władze wojskowe przejęły całkowity zarząd nad przydzielonymi im rejonami okupacyjnymi Berlina.

14 lipca: Najwyższe Dowództwo Sprzymierzonych t.zw. "SHAEF" zostało rozwiązane.

—Włochy wypowiedziały wojnę Japonii.

15 lipca: Ogłoszono o zniesieniu zakazu "bratania się" z Niemcami i Austriakami, obowiązującego dotychczas żołnierzy brytyjskich i amerykańskich.

16 lipca: W Poczdamie rozpoczęła się konferencja "Wielkiej Trójki" — prezydenta Trumana, premiera Churchilla i marszałka Stalina.

Stany Zjednoczone

JAK WYGLĄDA ROZMOWA AMERYKANINA Z EUROPEJCZYKIEM I DLACZEGO

Gdy Europejczyk spotka się z Amerykaninem, ten ostatni nader często zarzuca Europie swarliwość i zapytuje, czemu "Europa nareszcie się nie połączy?" Obywatel Europy odpowiada wtedy, że tego rodzaju rzecz nie jest w Europie tak łatwa do przeprowadzenia. "Dlaczego? — dziwi się obywatel USA. — Przecież myśmy to zrobili i doskonaleśmy na tym wyszli!" "Tak — odpowie mieszkaniec Europy — ale u was było przecież inaczej. U nas w Europie trzeba się rozpychać łokciami. Na wszystkie strony mamy tradycje, obyczaje, nawyki silnie zakorzenione. To tak, jakby porównywać laboratorium ze starym dworem. W laboratorium, albo w nowozbudowanym domu czy mieszkaniu, można dokonywać prób wszelakich. Ale w starym dworze trudno przebijać ściany, wyrzucać meble, zmieniać dach. Oto jest różnica między waszym nowoczesnym mieszkaniem a naszym starym domem". "I dlatego ciągle prowadzicie wojny"—powie obywatel USA z przekąsem. "Tak, prowadzimy wojny, ale i wyście przed zjednoczeniem mieli straszliwą i niszczącą wojnę domową — odpowie nieszczęsny mieszkaniec ciasnej Europy. — Ofiary w wojnie domowej były olbrzymie. Sięgały jednak w miliony". "Tak, ale to było tylko raz, a teraz żyjemy w zgodzie. Nie mamy żadnych przesądów, żadnych *uprzedzeń rasowych . . .*" "A murzyni? — podchwytuje mieszkaniec Europy — A różnice między Południem a Północą? Czy jesteście doprawdy tak wolni od dzielnicowości?"

I tak zazwyczaj rozwija się rozmowa między przedstawicielami dwu kontynentów. Rozmowa taka wykazuje zazwyczaj, że obie strony nie zawsze chcą rozumieć swoje wzajemne troski i trudności. Europejczyk zarzuca Amerykaninowi nieznajomość spraw Europy, Amerykanin Europejczykowi nieznajomość spraw USA. Oba zarzuty są słuszne, ale nie usunie się tych nieporozumień — zarzutami. Niecierpliwość, jaką objawia Europejczyk w rozmowie z Amerykaninem nie jest najlepszym doradcą. Europejczyk zbyt szybko zmierza do uproszczeń i uogólnień. Nie zdaje sobie sprawy z wielu czynników życia amerykańskiego a przede wszystkim z tego, że naród amerykański tworzy się w tyglu wielkich przemian i że na kontynencie amerykańskim powstaje nowa kultura, która odegra rolę w życiu świata.

Poznanie Ameryki jest zatem dzisiaj obowiązkiem każdego myślącego człowieka. Albowiem jest faktem, że chociaż Amerykanin mówi nieraz z niechęcią o "bałaganie europejskim", to jednak czuje on się związany z Europą licznymi nićmi. Inaczej dwa razy w ciągu lat 25-ciu nie śpieszyłby na odsiecz tej Europie.

STANY MÓWIĄ PO ANGIELSKU I CZUJĄ PO EUROPEJSKU

Stary Bismarck powiedział kiedyś, że *"najważniejszym wydarzeniem XIX w. jest to, że Ameryka mówi po angielsku"*. Prawda ta jest dzisiaj oczywista. Stany Zjd., które powstały z buntu przeciwko koronie angielskiej, wracają dzisiaj do Europy i do porozumienia z Anglią. Kraj powstały z emigracji ludzi, którzy chcieli zapomnieć o biedzie lub prześladowaniach w Europie, zbliża się dzisiaj do starej swojej ojczyzny. Jest w tym procesie coś niemal mistycznego. I Bismarck miał rację: Stany Zjed. mówią po angielsku — Stany Zjed. mówią po europejsku.

Jest to oczywiście inna mowa, która wydaje się nam czasem prawie obca, a niekiedy — całkowicie niesłusznie — śmieszna. Ale nie zapominajmy, że przecież w obrębie jednego kraju ludzie wzajemnie pokpiwają z narzeczy rozmaitych dzielnic. Pamiętam dobrze, jak to w latach 1919 — 25 rozmaici przybysze z Małopolski do Wielkopolski wyśmiewali różne osobliwości mowy poznańskiej, nawet takie, które zakorzenione były mocno w glebie polszczyzny /ździebko, kamyszek i t.d./. Oczywiście, Ameryka dzisiaj ma swoją angielszczyznę i można by nawet powiedzieć, że język jej jest coraz to bardziej swoisty, amerykański. Istnieją dzisiaj wielkie słowniki "amerykanizmów". Tysiące nowych słów powstało na glebie amerykańskiej, wiele słów wymawia się inaczej, pisze inaczej. A jednak u podstaw tej mowy tkwi Europa, tkwi Anglia. A jednak Polak amerykański zwraca swoje oczy ku dalekiej ojczyźnie. Podobnie czują Skandynawowie, Irlandczycy, Włosi i inne ludy, które osiadły na olbrzymich przestrzeniach wolnego kontynentu amerykańskiego.

I chociaż starają się nieraz zapomnieć o tym skłóconym kontynencie, to jednak przyjeżdżają do Europy. Ciągnie nie tylko elita umysłowa USA — pisarze, malarze, uczeni, muzycy — ale i szara masa amerykańska. Jak szybko nawykają oni do życia Europy — szybciej niż Europejczycy może do życia USA — co dowodzi, że to życie nie jest im jednak obce.

NA POCZĄTKU BYŁO "SŁOWO" O LEPSZYM ŚWIECIE, NIE PIENIĄDZ

Niewielka książka, doskonale tłomaczona na język polski, stanowi dobre wprowadzenie dla polskiego czytelnika w dzieje USA. Można ją polecić każdemu, kto chce poznać nieco historię tego wielkiego tworu ludzkiego i rozwój USA, kraju, którego wpływ na losy Europy i świata będzie stale wzrastać.*

Europejczyk nie zawsze rozumie dobrze podstawy historii i cywilizacji USA. Nie zawsze zdaje sobie sprawę, że wyprawa emigrantów na pokładzie statku *"Mayflower"*, którzy położyli fundamenty pod budowę przyszłego wielkiego państwa, nie była powodowana przyczynami natury materialnej. Pielgrzymi ci nie zdążali do Ameryki dla zarobku albo dlatego, że źle im się działo w rodzimej Anglii. Nie, płynęli oni przez morze na kruchym statku, albowiem pragnęli mieć wolność sumienia i myślenia — obie rzeczy zagrożone wówczas w Anglii. Nie powodował nimi głód zarobku, ani "gorączka złota" — ale motywy idealne, odwieczne pragnienie wolności, zakorzenione w człowieku, wspaniały głód swobody.

Tak zatem osadnictwo na glebie Stanów rozpoczęło się od pobudek idealistycznych a nie materialnych. Tak było zresztą w innych wypadkach kolonizacji poza Europą. Dopiero późniejsze osiedlenia w USA powodowane były głosem zarobku; ale motyw zarobku nie był nawet i wtedy wyłączny. Po prostu Europa była zaciasna, ludzie dusili się, chcieli odetchnąć świeżym powietrzem. Ameryka stała się wielkim mitem, magnesem dla wszystkich — wielkich i maluczkich. Mówiono sobie, że tam tworzy się "lepszy świat", że tam ludzie zrzeszają się na nowych podstawach. I szły ławą tysiące z Europy, a ląd amerykański wchłaniał ich szybko, dawał zarobek, nieraz pomyślność. Nigdy USA nie zaznały takiego przyboru pomyślności jak wtedy właśnie, kiedy przygarniały wszystkich, kiedy nie wznosiły zapór i barier dla emigracji. Polityka nie-sobkowska, polityka szerokiej ręki opłaciła się Ameryce.

Emigracja poczęta z motywów idealistycznych sprawiła, że w charakterze amerykańskim te względy mieszają się stale z względami praktyczności. Dla Europejczyka "materializm" amerykański jest często nieznośnym zjawiskiem. Ale ci właśnie "materialistyczni" Amerykanie zdobyli się w ciągu 25-ciu lat na dwie wyprawy do Europy, na wielkie straty, na misje humanitarne /jak misja Hoovera po wojnie światowej nr. 1/, na rozliczne inicjatywy, ożywione duchem solidarności ludzkiej. Stworzyli fundacje naukowe, pomoce naukowe, warsztaty pracy dla najlepszych mózgów. Oni sami zdają sobie sprawę, że ich kultura dopiero się tworzy — a ileż setek lat trzeba dla sformowania się kultury! — i że są narodem w pełni młodym. Europejczyk nie spostrzega nieraz, że w Stanach Zjed. motywy idealistyczne przejawiają się coraz wyraźniej w literaturze, że w książkach pisarzy takich jak Sinclair Lewis, Thornton Wilder, Margaret Rawlings i wielu innych znakomitych pisarzy — a USA górują bodaj dzisiaj ich liczbą nad stawką angielską — przejawia się nić idealistyczna a nawet mistyczna. Ameryka szuka swoich dróg duchowych.

ZAINTERESOWANIE WŁASNĄ PRZESZŁOŚCIĄ U PROGU WIELKIEGO ROZWOJU

Ameryka wykazuje również, że staje się społeczeństwem dojrzałym, albowiem przejawia coraz większe zaciekawienie swoją historią. Widzimy to w licznych a świetnych powieściach historycznych/ by wspomnieć tylko "Przeminęło z wiatrem", albo "Przejście północno-zachodnie"/. Tak jak człowiek dojrzały zaczyna się zastanawiać nad swoją przeszłością, tak i narody dojrzewające zaczynają sięgać w swoje dzieje. To sprawia, że w USA zaczyna dzisiaj budzić się zaciekawienie i smak dla zagadnień polityki zagranicznej, co nie było jeszcze tak wyraźne w dobie Wilsona. Wybiegał on wyraźnie przed swój naród i nie zyskał jego poparcia dla rozmaitych swoich planów /USA wycofały się z Ligi Narodów, które stworzył idealizm Wilsona/. Dzisiaj jest już inaczej, a Roosevelt zyskał dla swojej polityki zagraniczej poważne poparcie. Ogół amerykański interesuje się dzisiaj światem, interesuje się polityką zagraniczna. Dowodzi to, że ta społeczność dojrzewa. Okres pewnego prowincjonalizmu — do którego sami Amerykanie otwarcie się przyznają — minął, i oto USA wchodzą na arenę świata w poczuciu swojej siły, w przekonaniu, że potrafią kształtować losy globu.

Jesteśmy niewątpliwie u wstępu wielkiego procesu: Ameryka ma szanse zawojowania wielkich szlaków światowych, ustalenia swojego prymatu w dziedzinie lotnictwa, ma już panowanie na morzach albowiem wyrwała ten prymat Anglii. Urasta ona szybko do rozmiarów niebywałych, a jej rozwój gospodarczy musi być wielki. Wynika to z rozmachu tego wielkiego społeczeństwa, z siły 130 milionów wolnych ludzi, z straszliwego rozpędu przemysłu USA, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych.

STANY ZJEDNOCZONE I WIELKA BRYTANIA

Kolos amerykański będzie kroczył przez świat i jesteśmy przekonani, że świat nie wyjdzie na tym źle. Sprzymierzy się bowiem z nim jego naturalny sojusznik: W. Brytania. Powstanie w najbliższych lat dziesiątkach wspólna kultura tych krajów. Kraje te muszą iść ze sobą: jeżeliby się rozeszły, świat spotka nieszczęście. Ameryka, buntownik przeciwko edyktom króla angielskiego — wszystko to "zaczęło się od podatków", ale wyraziło w rewolucji natchnionej wielkimi ideałami, ideałami równymi hasłom rewolucji francuskiej — godzi się dzisiaj z Anglią. Oczywiście, urazy i pretensje istnieją, oba kraje będą się nieraz jeszcze serdecznie sprzeczać, ale wspólnota ich doli jest oczywista dla coraz większej ilości obywateli. I to jest ważne — poczucie tej wspólnoty, a nie przelotne swary albo wzajemne boczenie się na siebie.

USA okazały się świetną inwestycją dla Anglii. Trzeba podziwiać szczęśliwy los Anglii, że z tego wroga i odszczepieńca zdołała sobie zrobić przyjaciela i sojusznika. Przez uznanie swojej porażki i przez mądre wycofanie się ze Stanów, przez rozdział ról i przez stworzenie wzajemnego zaufania — położono podstawy pod porozumienie.

Ameryka pojęła dzisiaj, że hasło *"Ameryka dla Amerykanów"* i cała doktryna Monroego umożliwione były przez to, że na Atlantyku istniała *Royal Navy*. Wykazał to doskonale Lippmann w swojej pracy *"U.S. Foreign Policy"* a masy amerykańskie zrozumiały dzisiaj, że jeżeli dwa razy w ciągu ćwierć wieku Stany szły na odsiecz Anglii, to czyniły to nie tylko dla względów bezpieczeństwa Europy ale i dla własnego bezpieczeństwa. Albowiem łączność przez Ocean Atlantycki nie może być przerwana, albowiem wolność mórz musi być gwarantowana przez floty wojenne obu krajów.

Młodszy brat Anglii — brat uważany przez długie czasy za marnotrawnego — wyrósł dzisiaj i jest większy i bogatszy od Anglii. Ale wszystko wskazuje na to, że starszy brat w zrozumiałym interesie własnym będzie starał się pracować z USA i że oba te narody powodowane zmysłem kompromisu będą w dobie pokoju iść razem.

ODRĘBNOŚĆ DEMOKRACJI AMERYKAŃSKIEJ

Rewolucja amerykańska, w której nasz udział był tak znakomity /Kościuszko, Pułaski/, ożywiona była wzniosłymi hasłami. I te hasła i wskazania zawarte w słowach Abrahama Lincolna i Washingtona, wielkie przykazania wolności oraz poszanowania wolności człowieka sprawiły, że w duszy każdego Amerykanina istnieje złoże idealizmu i że mowa w Gettysburgu, wygłoszona przez Lincolna i słowa deklaracji niepodległości, zredagowanej przez Jeffersona /*"każdy człowiek przychodzi na świat jako istota wolna i swojemu bliźniemu równa"*/, budzą w sercu obywatela USA poczucie dumy. To są te wielkie zawołania demokracji amerykańskiej — demokracji innej niż ta, jaka wytworzyła się w krajach Europy; i nic znowu w tym nie ma dziwnego, albowiem demokracja jest jak płód ziemi zależny od gleby.

W Europie mamy twory demokratyczne różne: angielski jest inny od n.p. szwajcarskiego, albowiem w Anglii mamy poczucie hierachii społecznej, nie mamy szwajcarskiego ideału pełnej społecznej równości, a jednak mamy szczerą wolność; demokracja szwajcarska przypomina bardziej duńską albo norweską, natomiast szwedzka będzie nieco odmienna. Demokracja chłopskich państw bałtyckich przypominała szwajcarską, podobnie było w Czechosłowacji. Nie mniej ustroje te łączyły pewne wspólne cechy, które można określić, jako *poszanowanie praw człowieka, możność swobodnego rozwoju, pohamowanie siły i wpływów państwa.*

Demokracja amerykańska jest inna, albowiem wyrosła na innej glebie. Jest ona szeroką demokracją wszystkich warstw przy czym motyw pieniądza jest silnie akcentowany. Ale ustrój amerykański chociaż silnie zakotwiczony w tradycjach kapitalizmu jest w pełni swobodny — o ileż swobodniejszy od ustrojów, które głoszą "rządy ludu". Demokracja amerykańska jest tworem bardziej nowoczesnym aniżeli starsze demokracje europejskie — jest zdolna do wielkich przemian, jest tworem żywotnym.

* * *

Wszystkie te rzeczy zrozumie lepiej czytelnik polski na tle wspomnianej już książki. Daję ona rzetelny obraz, wykazuje proces rozwoju tego wielkiego tworu, jakim jest USA — tego spływu rzek rozmaitych ludów i ras, spływu rzek, które łączą się w jedną olbrzymią, jak Mississipi rzekę. Ta olbrzymia rzeka zdolna jest do dokonania wielkich prac. Na terenie USA możemy oglądać nowe formy życia, nowe próby pożycia gromadnego, nowe próby rozwiązania stosunku obywatela do państwa.

Stany Zjednoczone nie powiedziały swojego ostatniego słowa. Są one w pełnym rozwoju. Możemy patrzeć ufnie na ten rozwój. Ufnie i bez poczucia niższości. *Ze współpracy Europy z USA wyniknąć może świat lepszy. Europa potrzebuje USA a Stany potrzebują Europy. Na tym podstawowym fakcie budować należy przyszłość.*

ZBIGNIEW GRABOWSKI

* Allan Nevins: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Zwięzła historia. Z przedmową Johna G. Winanta. Autoryzowany przekład Antoniny Janowskiej. Stron 160. Książnica Polska, Glasgow 1945.

Wokół sprawy powrotu

Ta sprawa, która nam towarzyszyła przez wszystkie lata wojny, wszystkie wysiłki i trudy, ofiary i cierpienia — staje dziś przed nami w nowej postaci, w formie pytania: wracać czy nie wracać? Kładzie się ciężarem na sercu właśnie dlatego, że stała się pytaniem, że przestała być niewątpliwą pewnością, jedynym celem życia, jedynym celem żołnierskiej drogi.

Ale odczuwając ten bolesny ciężar, powinniśmy być świadomi, że to pytanie: wracać czy nie wracać? — źle, nieściśle wyraża istotę sprawy. Właściwe pytanie brzmi: j a k w r a c a ć ? Bo wracać chcemy wszyscy, bo żyliśmy tu dla powrotu, bo najdrożsi nasi towarzysze broni w imię powrotu umierali na tylu polach bitew, na morzu i w powietrzu.

Jak wracać? Są rozmaite powroty. I w naszym przypadku są napewno dwie możliwości.

Pierwsza to powrót jednostek w rozsypce, powrót nie żołnierzy, ale byłych żołnierzy, zdanych na łaskę i niełaskę ludzi, którzy są dziś w Polsce — choć nie z woli Polski — u steru władzy.

Druga możliwość to powrót wojska, Sił Zbrojnych suwerennej Rzeczypospolitej, wiernych złożonej przysiędze — ze sztandarami, ze sprzętem, z dorobkiem organizacji i wiedzy, ze sławą krwawo zarobioną, we wspólnocie, która nas łączyła przez tyle lat i łączy ciągle, wspólnocie, nad którą nie można by przejść do porządku dziennego.

Powrót na własną rękę, w pojedynkę mógłby może szybciej zaspokoić gryzącą nas wszystkich tęsknotę, może szybciej połączyłby nas z bliskimi. Ale wisi nad nim groźba służby w szeregach armii dowodzonej przez oficerów sowieckich. Ale wisi nad nim groźba prześladowania rozmaitych kategorii naszych kolegów: jednych za to, że wchodzili kiedyś w skład armii polskiej w ZSRR, innych za to, że wbrew swojej woli, przymusem, gwałtem zostali wcieleni do szeregów "Wehrmachtu", wszystkich za to, że przybywają ze "zgniłego Zachodu".

Powrót w zwartym porządku, powrót regularnych Sił Zbrojnych byłby wydarzeniem politycznym, świadectwem, że Polska tak straszliwie skrzywdzona — ma bodaj prawo do tego, aby witać swoich żołnierzy, jak synów, a nie jak niepewnych losu rozbitków, wracających z awanturniczych szlaków. Taki powrót nas wszystkich razem jest naszym dobrze zapracowanym, dobrze zasłużonym prawem, prawem każdego żołnierza, który najlepiej jak mógł, spełnił swój obowiązek, nigdy nie splamił honoru, nie sprzeniewierzył się ojczyźnie.

Każdy z nas musi dać odpowiedź w swoim sumieniu: nie c z y chce wracać, ale j a k chce wracać, odpowiedź na pytanie, czy chce wracać w pojedynkę, odłączając się od szeregów, od tego, co one zdobyły, co znaczą, czym są dziś dla Polski czy też przez swoją postawę, przez dyscyplinę, przez wierną służbę przyczynić się do godnego powrotu dla siebie i dla wszystkich bez groźby zamknięcia w obozach koncentracyjnych, gdzie ciągle cierpią żołnierze Armii Krajowej, bez groźby zsyłki w głąb Rosji, skąd ciągle jeszcze nie wrócili deportowani sześć lat temu i kilka miesięcy temu.

Jeśli się znajdą tacy, którzy wybiorą pierwszą możliwość, nikt ich nie będzie siłą trzymał wśród nas. W normalnej, żołnierskiej drodze zgłoszą swoje życzenie i odejdą w spokoju. Wezmą ryzyko, które dzielimy wszyscy — wyłącznie na swoje barki.

Rozstaniemy się z nimi, jak rozstaje się brat z bratem. Nie użyjemy w stosunku do nich tych obelżywych słów, którymi nas, wiernych żołnierzy swego kraju i wiernych żołnierzy sprawy sojuszniczej, obrzuca wiadoma propaganda już od wielu lat. Nie wykopiemy między nimi a sobą przepaści — pamiętni na braterstwo broni, braterstwo przeżyć i braterstwo cierpień.

Potem zewrzemy szeregi, by trwać na świadectwo prawdzie, że nie stało za dość sprawiedliwości, jeśli żołnierz nie może wrócić do swego kraju jako żołnierz — mimo, że i on i jego kraj należy do obozu zwycięstwa, na rzecz tego zwycięstwa złożył wszystko, co mógł i więcej, niż mógł.

ALEKSANDER JANOWSKI

Ostatni dzień Czerniakowa

II.*

Padają słowa komendy i chłopcy biegną przez podwórze orane wybuchami granatów do garażu, by piaskiem gasić pożar rozszerzający się z błyskawiczną szybkością. Walka z pożarem jest od początku beznadziejna. Wysuszone belki stropu łamią się z trzaskiem. Już płonie i stróżówka. Ogień kmów nieprzyjaciela sieje po podwórzu uniemożliwiając ratunek. Walka z płomieniami przenosi się na nasz budynek. Ledwo ugaszony pożar pierwszego piętra wybucha na nowo, podsycany przez Niemców butelkami z benzyną. Kmy wroga biją długimi seriami po szczytowej ścianie budynku, która świeci już otworami.

Korytarz piwniczny, do niedawna bezpieczne schronienie dla rannych i wypoczywających żołnierzy, staje się ażurowy i nie stanowi już żadnej osłony.

Równocześnie obserwator sygnalizuje pojawienie się trzech czołgów niemieckich w rejonie "Społem". Działa ich walą po chwili w nasz budynek, krusząc górne piętra. Berlingowscy strzelcy przeciwpancerni pierzchają ze stanowisk. Wbiega zwiastun nowej klęski: "Berlingowcy" cofnęli się z pozycji na Solcu. Nie wytrzymali natarcia czołgów idących Solcem od Zagórnej. Pociski dział czołgów biją w nasz budynek z kierunku, który dotąd uważaliśmy za bezpieczny. Nowy okrzyk obserwatora: trzy czołgi w rejonie Ludnej biją w naszą stronę.

Piekło, które zapanowało, nie da się z niczym porównać. Dziewięć czołgów bijących w mały budynek — to stanowczo za dużo na nerwy "Berlingowców", którzy opuszczają stanowiska. Uruchomienie radiostacji w tych warunkach wymaga wielkiej umiejętności. — *"Elektron tu Sokół, Elektron tu Sokół — Poniał, Poniał"* — rozbrzmiewa powtarzane bez końca, aż do zmęczenia, w końcu płynie szereg cyfr — to artylerzysta podaje rzędne.

Z radiostacji przenoszę wzrok na kuchnię, przy której dziewczęta w tumanach kurzu gotują zupę, na ten skarb czekają wygłodniali chłopcy. Jak trudno ochronić zawartość kotła przed opadającymi kawałkami tynku, jak trudno jest utrzymać ogień, kiedy podmuch co chwilę wyrzuca ogień i dym z paleniska. Ta cicha walka w huku rozrywających się pocisków, w dymie i ogniu nabiera cech symbolu.

Teraz szybko montuję przeciwnatarcie na stracone pozycje na Solcu. Jeszcze nie zagrały działa z tamtej strony, kiedy biegną chłopcy, by wydrzeć Niemcom stanowiska, bez których przeprawa byłaby niemożliwa. Walka jest krótka, zawzięta i Niemcy pierzchają w popłochu.

Podobna sytuacja powtarza się w ciągu dnia kilkakrotnie, gdyż Niemcy ostro nacierają. "Berlingowcy", głodni i zdeprymowani, natarć tych nie wytrzymują, ale moi chłopcy odwoływani z innych stanowisk w budynku odbijają utracone przez innych pozycje: powtarza się to do czasu, gdy Niemcy palą wreszcie budynek, o który tyle razy toczyła się Walka. "Berlingowcy" okopują się na wybrzeżu, na którym tkwią już do wieczora.

Zapowiedziana przeprawa nie odbywa się. W ciągu dnia przychodzi z brzegu praskiego wiadomość, że przeprawa za dnia odbyć się nie może, a rozpocznie się o godzinie 20-ej. Teraz mamy wyłożyć płachty rozpoznawcze, gdyż nastąpi zrzut żywności. Natychmiast ściągamy ręczniki, prześcieradła i układamy kwadrat. Nie spowodował on zrzutu żywności, jednym skutkiem był wściekły ogień granatników niemieckich, które uniemożliwiły wszelki ruch po podwórzu. Za to ogień artylerii zza Wisły spowodował wycofanie się czołgów: można więc było przystąpić do rozdziału obiadu z takim trudem ugotowanego przez dziewczęta.

Obszedłem raz jeszcze stanowiska, budząc gdzieniegdzie śpiących żołnierzy, którym nawet huk dział nie przerywał snu.

Ileż radości może dać łyżka, dosłownie łyżka, gorącej zupy! Już znów słychać ożywione głosy, znów sypią się dowcipy, stanowisko na piętrze wybucha kaskadą śpiewu, który biegnie aż po stanowiska niemieckie — to "Szturmówka". Niemcy odpowiadają ogniem: ale śpiewak wkłada całą moc pogardy w śpiew, melodia "Szturmówki" góruje.

Trudno zliczyć, ile razy jeszcze Niemcy tego dnia nacierali, ile razy dzielni chłopcy ich odrzucali; mogę śmiało powiedzieć, że nigdy jeszcze w walkach powstańczych, w których braliśmy udział, Niemcy nie przejawili takiej nerwowej aktywności, nie atakowali z taką furią, jak w tym dniu właśnie.

Ale najcięższą walkę toczyliśmy z ogniem, który wdzierał się do naszego budynku i co chwilę wybuchał z nową siłą. Przed tym wrogiem musieliśmy się cofać — cofaliśmy się wolno, walcząc o każdy pokój, o każdą palącą się deskę. Pożaru nie można było gasić z braku wody: staraliśmy się go jednak umiejscowić na klatce schodowej. Obliczyłem, że wytrzymamy tak do wieczora mimo, że rozgrzane powietrze wypalało nam płuca, usta spierzchnięte pękały z braku wody.

Zbliżał się wieczór rozświetlony pożarami zgliszcz, otaczających nas szeroką ławą. Już dawno straciliśmy rachubę czasu. Szał walki nieco przycichał.

Radiostacja przynosi nam nową wiadomość: przeprawa zostaje przesunięta na 21-ą. Wydłużają się twarze obrońców. "Berlingowcy" wyrażają wątpliwość, czy w ogóle nastąpi. Krąży z ust do ust opowiadanie o podobnej sytuacji pod Puławami, gdzie oddziały posłane na drugi brzeg Rosjanie zostawili bez żywności i amunicji: poszły na stracenie. Żądam rozmowy z dowództwem 5-ej dywizji. Najpierw dowódca 5-ej dywizji, potem generał Berling zapewniają mnie, że wszystko będzie dobrze. 100 pontonów już przygotowano, pada szereg zapewnień i obietnic, które powtarzane żołnierzom budzą nową falę nadziei.

O 20-ej robimy ostatnie przygotowania do wymarszu. Łatyszonow rozmawia powtórnie z Berlingiem, następnie wygłasza dłuższe przemówienie programowe na temat, że przecież oni nie mieli żadnych planów strategicznych, lądując na Czerniakowie: jedynym ich celem było przyjście z pomocą proszącym o nią braciom-Polakom, że dla tego celu nie wahali się ponieść wielkich strat — sięgających 500 ludzi. Bardzo chce, żebyśmy teraz to zrozumieli, aby przyszła nasza współpraca mogła wyglądać jak najlepiej. Podziwia naszych żołnierzy i przewiduje dla nich oficerskie stanowiska i t.d.

Nie rozwodziłem się długo w odpowiedzi. Ograniczyłem się do kilku zdawkowych zdań, natomiast urządziłem zaraz odprawę swoich oficerów i instruktorów, na której ustaliłem sposób postępowania. Dalsze rozmowy przerywa nam nowe natarcie niemieckie, prowadzone ze zdwojoną siłą, wśród przeraźliwego huku granatów i wściekłego ognia kmów.

Jest to ostatnie natarcie, jakie Niemcy podejmują tego wieczora. Odparte, jak i poprzednie, wygasa w pojedyńczych strzałach karabinowych i seriach peemów.

Noc zapada. Czerwone niebo, jak krwawy namiot, zwisa nad głowami. Pióropusze rakiet rozdzierają jego czerwień, zalewając rumowiska białym światłem. Rumowiska nabierają w tym świetle życia, za chwilę długimi cieniami kładą się w stan przerwanego spoczynku.

Przychodzi godzina. Wymarsz. Najpierw "Słoń" z sekcją zajmuje stanowisko na wybrzeżu, aby sygnałami wskazać miejsce lądowania. Równocześnie ubezpieczenia zajmują swoje pozycje. Potem długim korowodem wychodzą dziewczęta, reszta rannych z Ojcem Pawłem, "Berlingowcy" i wreszcie my. Niektórzy oglądają się na opuszczony budynek, który za chwilę padnie pastwą płomieni, a z którym związało ich tyle przeżyć.

Łączniczka Marta zatrzymuje się, spoglądając w kierunku piętra, na którym spoczywa ciało Jerzyka. Ostatnią godzinę przed wymarszem strawiliśmy na walce o wydostanie tych zwłok drogich nam wszystkim, aby Jurkowi sprawić żołnierski pogrzeb. Nowi ranni spowodowali moją decyzję, zabraniającą dalszych prób. Przygotowany grób świeci pustką, a ciało Jerzyka, żegnane teraz ostatnim spojrzeniem Marty, pozostaje w płonącym domu — na ostatnim ubezpieczeniu.

Wymarsz odbywa się w zupełnej ciszy. Idziemy ruinami, potykając się o zwłoki poległych. Rakiety w dalszym ciągu strzelają w górę. Z rzadka słychać trzask karabinów maszynowych, ryglujących Solec. Małymi grupkami, w przerwach między jedną a drugą rakietą przeskakujemy ulicę, by znaleźć się na stromym stoku wybrzeża nad Wisłą, rozświetloną teraz pożarem szop palących siś na Solcu i przecinaną smugą reflektora, ślizgającego się po wodzie jasnym snopem. Wchodzimy na statek zatopiony przy brzegu, podziurawiony, wypełniony rozkładającymi się ciałami.

W blasku rakiet widzimy odrywające się od przeciwległego brzegu łódki: równocześnie tryskają smugi amunicji świetlnej, powietrze napełnia się trzaskiem ckmów. Artyleria sowiecka zaczyna huraganowy ogień. Za chwilę niemieckie moździerze biją w rzekę. Fontanny wody, rakiety, smugi pocisków: z nocy robi się dzień.

Wyraźnie rysują się zwaliska mostu Poniatowskiego. Na rzece widać dokładnie walkę saperów z wartkim nurtem. Nad łupinami łódek powstaje kłębowisko smug świetlnych. Z trzech łodzi saperskich, które odbiły od brzegu praskiego, przybywa na brzeg czerniakowski tylko jedna, przywożąc dwu zabitych i jednego rannego sapera.

Łatyszonow gorączkowo zarządza, aby ta pierwsza łódź została do jego i mojej dyspozycji, co zgodne jest zresztą z wolą jego przełożonych. Zwraca się do mnie, abym siadał z nim, gdyż wobec położenia, jakie tu jest, my przede wszystkim znaleźć się musimy na drugim brzegu.

Odmawiam stanowczo, oświadczając, że u nas panuje zwyczaj, iż dowódca wycofuje się ostatni, i zarządzam opróżnienie statku z tłoczących się nań "Berlingowców". Za chwilę statek rozgorzał walką bestii ludzkich, które tłocząc się do jedynej łódki, spychają rannych i kobiety, walczą pięściami, zębami.

Jest godzina 23-a. Pierwsza łódka zostaje zatopiona przez stłoczonych "Berlingowców"; na dwie następne, którym udaje się przybić, wdziera się kilku najsilniejszych. Tafla wody jest czysta. Nie ma żadnej zasłony i niemieckie km zatapiają jedną łódkę po drugiej.

Na brzegu tłoczy się wystraszona, niekarna masa na pół obłąkanych ludzi. Niebaczni na ogień granatników stoją wpatrzeni w przeciwległy brzeg, skąd wyczekiwana jest pomoc — pomoc, która nie nadchodzi. Niektórzy rzucają się wpław. Inni montują prowizoryczne tratwy. Rzeka raz po raz rozbrzmiewa skowytem rannych.

Jasne się staje, że realnej pomocy z tamtego brzegu nie otrzymamy. Potwierdza to meldunek oficera, przybywającego z brzegu praskiego, który oświadcza, iż dowództwo rozmyśliło się i będzie dostarczać po 15 łodzi saperskich co wieczór, zamiast obiecanych 100 pontonów jednorazowo. Cynizm tego oświadczenia, bezmyślność w organizacji przeprawy są jasne: decyduję natychmiast przystąpić do przygotowania przebicia się do Śródmieścia przez ogród Frascatti. Tymczasem "Berlingowcy" gromadzą się nad rzeką, opuszczając ubezpieczenia, i wypełniają powietrze wrzawą roznamiętnionych głosów.

Polecam chłopcom objąć opuszczone stanowiska. Nasze "Maximy" grzeją na tyralierę nacierających Niemców. Zarządzam zebranie ludzi do przebicia się. Poszczególne grupki przeskakują przez ulicę oświetloną blaskiem płonących szop. Ochotnikom, do których należy Witold, polecam przeprawić się na drugi brzeg, by tam spowodowali wysłanie jeszcze przed świtem kilku pontonów dla przewiezienia rannych i pozostałych na brzegu "Berlingowców". Żegnamy się uściskiem dłoni, widzę ich, jak oddalają się szybko od brzegu.

Teraz krótka rozmowa z Łatyszonowem. Przebijamy się do Śródmieścia. Jeśli chce, może z grupą wypróbowanych ludzi dołączyć do mego oddziału. Na decyzję zostawiam mu trzy minuty. Przed świtem musimy być w mieście. Major zgadza się natychmiast i melduje się po chwili z dwudziestu oficerami i podoficerami.

Stoimy teraz w długiej bramie, zasłanej poległymi. Ustawiam wszystkich w szyku marszowym. Mówię kilka słów o trasie, którą mamy iść. W wypadku odłączenia się pojedynczych ludzi czy rozbicia oddziału należy przedzierać się w kierunku gmachu YMCA lub Instytutu Głuchoniemych. Wyznaczam dowódców poszczególnych oddziałów. "Słoń" dowodzi grupą uderzeniową, "Pol" ubezpieczeniem bocznym, "Jur" strażą tylną, Ojciec Paweł opiekuje się dziewczętami. Przedstawiamy sobą oddział o wielkiej sile ognia. Mamy dużą ilość peemów, kaemów, granatów różnego rodzaju, samopowtarzalne karabiny.

Ojciec Paweł prosi o chwilę skupienia i wzbudzenie żalu za grzechy. Stoimy w ciemnej bramie, nogi grzęzną w trupach poległych. Wzrokiem biegniemy ku jasnemu otworowi, przez który widać czerwone niebo i błyskami rakiet rozświetlane ruiny Czerniakowa. Artyleria sowiecka bije ukośną linią przecinając drogę naszego odwrotu z Czerniakowa.

W tym momencie myśl moja wraca do podobnej sytuacji na Starówce, gdy w ruinach ghetta Piotr prowadził natarcie. Piotr najlepszy przyjaciel i najlepszy wychowawca, harcmistrz Piotr, który zjawiał się wszędzie, gdzie było wahanie i umiał swym słowem tchnąć w ludzi nową wiarę. Poczułem nagle jego obecność, spojrzałem ku Wiśle, która błyskała w świetle reflektorów i rakiet, ku Solcowi, na którym płonęły, jak niegdyś, szopy.

Ojciec Paweł udziela absolucji, odmawia modlitwę za naszą garstkę, porywającą się na trudne zadanie. Znak krzyża otwiera nam drogę do swoich — do miasta.

Ruszamy. Idę pierwszy z Ojcem Pawłem i "Słoniem". Przeciskamy się przez wąskie szczeliny w ruinach. Za nami wyciągniętym wężem około 70 postaci. Wąż błyska od czasu do czasu stalą broni, czasem zadźwięczy metal. Wychodzimy na szerszą przestrzeń między ulicami Zagórną i Wilanowską. Idziemy luźnym rojem, zatrzymując się, gdy rakieta rozświetli powietrze. Z półmroku przed nami wynurza się linia jakiegoś rowu. Przyśpieszam kroku i nagle krótkim szczeknięciem wybiega ku mnie: — Parole?

Rzucam ze "Słoniem" granaty, skaczemy do okopu. Jęki rannych, huk granatów, "Słoń" osuwa się na kolana. Wyskakuję z okopu i biegnę z kilkoma towarzyszami krzycząc: Naprzód!

Z pod nóg tryskają snopy błysków świetlnej amunicji, którymi gonią nas Niemcy. W świetle rakiety widzę, że "Berlingowcy" cofają się, pociągając za sobą innych. Ale oto już i ruiny. Stajemy na chwilę. Jest nas czworo.

Chwila wahania i wracam do ruin, w których spodziewam się spotkać swój oddział. Mijam naszą ostatnią twierdzę. Płonie wysokim słupem ognia, wybucha raz po raz pozostawiona przez nas, zbędna amunicja. Jestem już w dobrze znanych ruinach. Znajduję tu tylko drużynę "Berlingowców" z sierżantem; reszta przywarowała gdzieś w ruinach, zdecydowana czekać do rana. Słychać rozmowy Niemców, którzy już oddzielają nas od brzegu rzeki.

Zawracam ku Czerniakowskiej, lawirując między rzędami pustych beczek, między ruinami i zgliszczami. Mijamy "Społem", idziemy ulicą, wolnym krokiem, z ręką na spustach peemów. Dochodzimy tak do rogu Czerniakowskiej. Przeciskamy się wolno przez barykadę: nagle z nad głowy, z okna domu pada znów: — Parole? Odpowiadamy: — Patrolle.

Stoję na Czerniakowskiej z Haliczem i Blondem dyskretnie trzymając na muszce peemów okno, z którego padło niedyskretne pytanie. Wolno dołączają do nas inni, idziemy dalej środkiem ulicy. Koło następnej barykady mijamy grupkę żołnierzy niemieckich, którzy nie interesują się nami. Podobnie koło budynku ZUS'u. Osiągamy Rozbrat.

Dziurą w płocie wchodzimy do ogrodu, by znaleźć się naprzeciw bunkrów niemieckich, cichych i jakby opuszczonych. Zbliżam się do pierwszego, trzymając w ręku granat przeciwpancerny. Bunkier pusty. Następny ukazuje się zwykłą maską. Po kilkudziesięciu krokach znajdujemy wielki spadochron i zasobnik, zrzucony przez Amerykanów. Nie zatrzymujemy się przy nim, lecz szybko zmierzamy w stronę Książęcej.

Wychodzę na ulicę naprzeciw Smolnej, aby stwierdzić zupełną pustkę. Jedynie brzeg Wisły rozbrzmiewa ciągle seriami kaemów i błyska światłem rakiet. Wracam do chłopców, idziemy dalej wzdłuż starego rowu łącznikowego, który łączył Czerniaków z miastem.

Nagle słychać kroki. Przywarowaliśmy w krzakach. Patrol niemiecki mija nas miarowym krokiem i niknie w tunelu w kierunku Książęcej. Teraz przeskakujemy rów i posuwamy się w stronę Ambasady Chińskiej.

Za gęstwą krzaków niespodziewanie niemiecki rów strzelecki, najeżony karabinami. Na pytania odpowiadamy granatami. Skaczę przez rów, za mną moja łączniczka Wika, Halicz, Blond, sierżant z armii Berlinga. Reszta jego żołnierzy pada i otwiera chaotyczny ogień.

Przed nami skarpa stroma, przecięta żywopłotem. Nurkuję w żywopłot i przekonuję się, że jest to zamaskowany drut kolczasty. Zawisam na drutach. Czuję krew zalewającą usta, czuję ostrza wbijające się w ciało. Ścigają mnie świsty i huk pocisków. Ciskam za siebie, w przebyty właśnie rów, granat, a równocześnie uderzenie pocisku zrzuca mi hełm z głowy.

Udaje mi się wyplątać, biegnę w prawo wzdłuż płotu, ręką wskazując towarzyszom drzewo zrąbane przez pocisk artyleryjski, które umożliwia nam przeskoczenie przez drut. Po pniu i gałęziach dostajemy się na druga stronę zasieku. Teraz zygzakami pod górę, odprowadzani pojedyńczymi strzałami. Wchodzimy do budynku Ambasady Chińskiej.

Opanowuję krok i wolno, jakby od niechcenia, przemierzam pustą salę; tylko bicie serca, które łomoce w piersi, świadczy o przebytej drodze. W wielkim portefenetrze widać sylwetkę wartownika. Pada pytanie po rusku. Odpowiadam machnięciem ręką i wyskakujemy na ulicę Frascatti.

Biegniemy do domu prof. Pniewskiego. Wchodzę wolno po schodach, za mną koledzy. Jest zupełnie ciemno. Mam w prawym ręku "Stena", w lewym latarkę; dwa ostatnie granaty tkwią za pasem, otwarty kobur pozwala w każdej chwili sięgnąć po pistolet.

Na schodach wartownik. Polak czy Niemiec? Błysk latarki. Odpowiedź: Niemiec. Odsuwam go zdecydowanym ruchem ręki, mijam go, jęcząc głośno i trzymając się za zakrwawioną twarz. Za mną towarzysze.

Schodzimy do piwnicy, odprowadzani przez zaskoczonego i zdziwionego wartownika. Jesteśmy w pracowni profesora — nie spodziewałem się, że będę odwiedzał pracownię mego profesora w takich okolicznościach. Z pracowni idziemy na taras, chcemy zeskoczyć do parowu, który biegnie do gmachu YMCA. Ale wysokość jest zbyt wielka, musimy wracać na górę.

Jest już dwóch wartowników. Przyglądają się podejrzliwie, zadają jakieś pytania, na które odpowiadam jękami, trzymając się ręką za twarz. Odsuwamy barykadę z drzwi i wychodzimy na taras na parterze. I tu to samo: za duża wysokość.

Jeszcze raz wracamy do domu, w którym roi się już od Niemców. Nie ma na co czekać: pierwszym oknem, bez namysłu, skaczę z pierwszego piętra na ulicę. Hop, hop, hop — skaczą za mną koledzy, potem biegiem po skarpie do parowu i pod górę do budynku YMCA. Teraz dopiero ściga nas ogień karabinów i jakiegoś kaemu od strony Ambasady Francuskiej. Zziajani dopadamy muru YMCA. Serca biją. Płuca chwytają gorączkowo powietrze.

Dom milczy. Polacy czy Niemcy? Każę towarzyszom odpocząć, sam zwolna obchodzę budynek. Milczenie. Niemcy czy Polacy? Nagle gdzieś z narożnika bluzga karabin maszynowy, odpowiada mu natychmiast inny z Ambasady Chińskiej. Soczyste przekleństwo i pytanie: — Stój, kto idzie? — napełniają mi duszę muzyką.

A więc swoi.

JERZY

* Por. nr. 28 "Polski Walczącej" z b.r.

Żołnierze alianccy w Polsce

Opowiadanie kobiety-żołnierza A.K.

Burg, 14.6.1945

—"A z tymi Anglikami w Warszawie jak to było, panno Janko?" — spytałem pod koniec naszej rozmowy.

—"Z Anglikami? Ach tak! Zapomniałam zupełnie, bo teraz u nas w obozie kręcą się ciągle nasi opiekunowie, Amerykanie, a nawet trafiają się i Anglicy. W pierwszej chwili nie wiedziałam o których chodzi.

—"Ci w Warszawie . . . Więc pierwszym był Kit Cope, wysoki na dwa metry, szczupły, niebieskooki student z Oxfordu. Przyprowadzono go do naszego domu na krótko przed moim powrotem ze wsi, gdzie odsiadywałam czas konieczny, by niemiecka policja zapomniała o moim istnieniu.

—"Nie wiem nawet jakim cudem przedostał się do Warszawy z Poznania, gdzie był jego obóz jeniecki. Wiem tylko to, że z obozu uciekł ze swoim kolegą przy pomocy tamtejszej organizacji Polaków, opiekujących się losem jeńców. W Warszawie spotkali przypadkiem ludzi z naszej organizacji podziemnej. Z tą chwilą mieli już zapewnioną opiekę. Żeby ich jednak wysłać do Wielkiej Brytanii, trzeba było wyrobić fałszywe papiery i pomyśleć jaką drogą wyekspediować. Nie były to rzeczy łatwe i nade wszystko wymagały sporo czasu, zanim je można było wprowadzić w życie.

—"Kit niestety musiał rozstać się ze swoim przyjacielem. Ze względów bezpieczeństwa trzeba było ich zakwaterować osobno. Kit mówił dobrze po francusku i trochę po niemiecku, ale z tak specyficznym akcentem, że nie sposób byłoby ukryć jego pochodzenie, gdyby otworzył usta wobec obcych. Musiał przeto przesiadywać w domu bez żadnej możności poruszania się po mieście. Prócz tego, nie mając papierów, nie mógł być zameldowany i trzeba było uważać, by kto niepowołany nie zorientował się, że mieszka u nas nie figurując na liście lokatorów. Przypuszczam, że się biedak ogromnie nudził. Miał co prawda nieco angielskich książek, ale przez cały dzień był sam i dopiero wieczorem, gdy rodzina wracała z pracy, rozpoczynały się dyskusje i ożywione rozmowy.

—"Otrzymanie fałszywych polskich papierów było dla niego wielkim wydarzeniem. Kit wszedł legalnie w skład mieszkańców domu i mógł już wychodzić na spacery na ulicę. Nauczył się paru najprostszych słów i najpotrzebniejszych zwrotów jak: "proszę o papierosy" lub "bilet normalny", gdy jechał tramwajem. Pierwsze kupione przez siebie papierosy pokazywał mi z szaloną dumą. Kit oczarował nas wszystkich swoją bezpośredniością i humorem. Pomagał mojej matce w domowej pracy na równi z nami. Uczył nas po angielsku, opowiadał często o swoim domu i bardzo często wspominał swoją matkę.

—"Przemieszkał u nas trzy tygodnie. Aresztowanie kilku moich kolegów było ostrzeżeniem, że może to grozić i naszemu domowi. Za ukrywanie jeńca wojennego groziła kara śmierci, więc musieliśmy Kita przekazać innym opiekunom. Dopiero w dwa i pół miesiąca potem, gdy już znowu było spokojnie, otrzymaliśmy wiadomość o Kicie: przechorował ciężki tyfus i stan jego zdrowia wymagał świeżego powietrza i dobrego odżywiania, co było w Warszawie zupełnie nieosiągalne.

—"Po długiej naradzie postanowiliśmy go zawieźć do naszych znajomych na wieś. Sprawa była skomplikowana. Ciągłe rewizje w pociągach utrudniały przewiezienie a na wsi też ciężko było utrzymać cokolwiek w tajemnicy, zwłaszcza jeśli chodzi o pobyt cudzoziemca, angielskiego oficera. Zapadła decyzja, że Kit będzie występował jako mój kuzyn kontuzjowany podczas wojny i wskutek tego głuchoniemy. Tylko najbliżsi domownicy mieli być dopuszczeni do tajemnicy kim Kit jest w istocie.

—"Pojechaliśmy kolejką wąskotorową w wagonie zatłoczonym w niemożliwy sposób. Biedny Kit, ze względu na swój olbrzymi wzrost nie mógł się zmieścić w małym wagoniku inaczej, jak zgięty w pół. Wzbudzał ogólną sensację — stał w kącie zrozpaczony swoją popularnością i starał się skurczyć jak najbardziej, podczas gdy ja bezskutecznie próbowałam go nieco osłonić. Obyło się na szczęście bez rewizji i sprawdzania papierów. Tylko jowiałny konduktor wygłosił do Kita długi *speech* na temat trudności, jakie powoduje wybujałym wzrostem. Zapewniłam konduktora, że jego zapędy krasomówcze są niestety stracone, ale po błagalnym spojrzeniu Kita widziałem, jak się biedaczysko pocił.

—"Na wsi Kit odkarmił się i wypoczął. Chodził do lasu na spacery, rąbał dla gimnastyki drzewo, wieczorami zaś, przy kominku opowiadał nam swoje wojenne przeżycia we Francji, my zaś jemu stare polskie legendy. W dwa tygodnie później oddaliśmy go w ręce tych, którzy mieli go wyekspediować do Anglii. Od tego czasu nie miałam o nim żadnej wiadomości.

—"Drugim był John Crawford, oficer szkockiego pułku piechoty. Był to przemiły typ młodego *gentlemana*. Umiejętnie żonglował dowcipem czasem nawet nieco zjadliwym. Przekomarzaliśmy się z nim często, ale żyliśmy w wielkiej przyjaźni. Był u nas w okresie Bożego Narodzenia, więc poznał tradycje polskie i zwyczaje obchodzenia tych świąt. Uczył się z zapałem języka polskiego i nawet potrafił po polsku zaśpiewać parę piosenek. Gdy jednak Niemcy zaczęli wysiedlać Polaków z dzielnicy, w której mieszkaliśmy, z żalem pożegnaliśmy Johna i umieściliśmy go u naszych znajomych. Na skutek aresztowań przeniesiono go znów gdzieindziej i w rezultacie zgubiłam jego ślad.

—"W jakiś czas potem zamieszkało u nas dwóch podoficerów angielskich: John i George. Nazwisk ich niestety nie pamiętam. Pozostały zapisane na kartce razem z adresami Copa i Crawforda w zalakowanej butelce, którą zagrzebaliśmy w skrzynce do kwiatów. Rzecz inna, że nie ma już domu, w którym mieszkaliśmy i skrzynka do kwiatów na balkonie napewno nie istnieje . . .

—"Johna i George'a nazywaliśmy "aniołkami". Uciekli z obozu pod Łodzią. Opowieść o ich przeprawie do Warszawy — to nienapisany poemat. Kluczyli po lasach, bojąc się zajść do wiosek, w których w tej okolicy mieszkało wielu kolonistów niemieckich. Głód zmusił ich jednak do szukania ludzi. W pierwszej chacie, do której zdecydowali się wejść, natrafili na huczne wesele. Przyjęto ich najpierw ze zdumieniem — myślano, że to już alianci wkraczają do Polski. Później pito z nimi na umór i śpiących jeszcze przewieziono do innej wsi.

—"W jednym z dalszych etapów, w mundurach angielskich wędrowali środkiem wioski, gdzie stała silna załoga żandarmerii niemieckiej, zupełnie nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Uratowała ich nauczycielka miejscowa, która zorientowała się, kim są i ogródkami, za domami przeprowadziła do siebie. Trzymała "aniołków" tydzień u siebie, zanim nie odnalazła kogoś z organizacji i nie wyekspediowała do Warszawy.

—"Za czasu ich pobytu u nas w Warszawie, mieliśmy z nimi wiele kłopotu. "Aniołki" nie zdawały sobie niestety sprawy czym jest życie pod okupacją i jak tragiczne są następstwa każdej nieopatrzności. Niepodobna było ich utrzymać w domu. Wymykali się na wycieczki po mieście, zawierali przygodne znajomości z jakimiś panienkami. Codziennie wieczorem, gdy zbyt długo nie wracali, cały dom z niepokojem wyczekiwał katastrofy.

—"Utemperowali się dopiero, gdy po raz nie wiem który udało im się w ostatniej chwili uciec przed patrolem żandarmerii, podczas ulicznej łapanki. Wtedy dopiero zrozumieli, że jednak istnieje różnica pomiędzy okupacją a życiem wolnym. Różnica, którą można przypłacić nie tylko wolnością, ale i życiem. Zgłosili się do pracy w ruchu podziemnym. Nauczyli się szybko po polsku i ponieważ byli to ludzie obrotni, sprytni i pełni energii, oddawali duże usługi. Podobno udało się przesłać ich do Anglii via Belgia, jako cudzoziemskich robotników zapadłych na zdrowiu.

—"Przewinęło się przez nasz dom jeszcze kilku innych, ale były to tylko przelotne ptaki, uciekający jeńcy, których się zawsze serdecznie przyjmowało jako towarzyszy broni i przyjaciół naszych najbliższych walczących poza granicami Polski i którym również ktoś w Anglii, Szkocji czy Ameryce użyczał serdecznej gościny".

BOLESŁAW K. PIEKARSKI

Ranne kobiety z Armii Krajowej w obozie koło Haren

Kobiety-żołnierze Armii Krajowej w obozie Oberlangen

Opowiadania ex-jeńca Francuza

Nie wiem co mnie zaniosło do "pubu". Whisky lub gin to nie mój żywioł, pragnienia też nie miałem, chyba więc intuicja, że spotkam kogoś nieoczekiwanego. No i przeczucie mnie nie zawiodło. Gdy oto skromnie stałem przy barze popijając cienkie piwo, nagle poczułem się w ramionach jakiegoś oficera francuskiego, zasypującego mnie huraganem: *"Comment ça va, mon vieux" "O, la, la", "C'est vous, mon vieux"*.

Tak mnie ściskał, że nie mogłem zorientować się kto to jest, czy przypadkiem nie wziął mnie za kogo innego. Wreszcie gdy wypuścił mnie ze swych silnych ramion, poznałem w nim swego przyjaciela z obozu w Coëtquidan, por. Jacques D. Byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni, wiele miłych chwil spędziliśmy w pobliskim Rennes.

Z górą pięć lat minęło, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. Jacques wyruszył ze swym oddziałem na front. Co się z nim stało, nie wiedziałem, zresztą kilka dni później sam czmychnąłem z "Koczkodanu" i zapomniałem o nim. W jakże zmienionych warunkach spotykamy się ponownie. Jaka olbrzymia odległość dzieli dzisiejszą rzeczywistość od sielanki obozu Wojsk Polskich w Coëtquidan, z którym łączyliśmy wówczas tyle nadziei. I teraz gdy go znów zobaczyłem, zmienionego i postarzałego, na zapytanie moje gdzie był, co się z nim działo przez pięć lat, odpowiedział po polsku: — "Byłem w Polsce" — i dodał szybko po francusku: — "Nie dawno powróciłem z Polski, wspaniali ludzie" . . . Co? jak? gadaj! Usiedliśmy w kącie i Jacques rozpoczął opowiadanie.

" . . . W niespełna dwa tygodnie po opuszczeniu Coëtquidan wojna dla mnie skończyła się. Dostałem się do niewoli. Początkowo umieszczono mnie w obozie w Rzeszy, w jesieni 1940 roku odtransportowano nas do obozów w Polsce. Wkrótce zaczęliśmy planować ucieczki, lecz od planu do jego urzeczywistnienia bardzo daleko, zwłaszcza przy rygorze w niemieckich obozach. A jednak ucieczki udawały się. Muszę z całym naciskiem podkreślić, że gdyby nie pomoc Polaków nie powiodłaby się ani jedna ucieczka. Jeniec dostałby się z powrotem za druty w ciągu bardzo krótkiego czasu. Śmierć czekała każdego Polaka za pomoc uciekinierowi, a mimo to nie było wypadku, aby na ziemi polskiej ktokolwiek nie udzielił pomocy jeńcowi.

Gdy wracasz z robót pod eskortą zbrojnych boszów mija cię w ulicy jakiś człowiek. Nie znasz go i on ciebie, lecz po znaczku żółto fioletowym z literą "P" na piersiach poznajesz, że to Polak. On nie patrzy na ciebie, nie odzywa się do ciebie. Przez ułamek sekundy skrzyżowały się wasze oczy i w mig cię zrozumiał. I jeszcze tego samego wieczoru będzie przy tobie. Nie zamieniliście ze sobą ani jednego słowa, zresztą nie zna twego języka a ty jego, a jednak zrozumiał czego pragniesz, jak i ty instynktownie odczułeś, że jemu podobnych znajdziesz miliony w swej wędrówce do wolności.

Pewnego też wieczoru w ciemnościach czujesz, że ci ktoś wpycha pod pachę ubranie cywilne lub chleb na drogę. Gdzieindziej znów ktoś ociera się o ciebie, później znajdujesz w kieszeni karteczkę z adresem, a gdy nie wiesz, gdzie iść, czujesz na sobie dalekie oczy, które ci wskazują drogę do tajnego lokalu organizacji.

Tam już wszystko wiedzą o tobie, otrzymujesz nową kartę tożsamości, zezwolenie na podróżowanie lub zmianę miejsca zamieszkania. Dowody te drukowane są w tajnych drukarniach w zachodniej Polsce i przesyłane z ręki do ręki tajnymi drogami. W mieście czy na głuchej wsi, wszędzie odczuwasz istnienie tajemniczych ludzi, którzy kierują twymi krokami, nie pozwolą zrobić ci błędu i oddają cię w ręce innych, którzy nie opuszczą cię, dopóki nie osiągniesz celu. Ale nawet i wówczas, gdy poczułeś się samotny i bezradny, zapukaj do pierwszej lepszej chaty i powiedz, że jesteś Francuzem i uciekłeś z obozu. Przyjmą cię, jak brata i będą trzymać u siebie tak długo aż warunki pozwolą na dalszą drogę.

A ileż to razy Niemcy w poszukiwaniu za zbiegami wpadali do domów, w których ukryci byli Francuzi. Nie było wypadku, aby którykolwiek z nich wpadł w ręce niemieckie. Ta niekończąca się nigdy walka Polaków z okupantem doprowadziła tajną organizację do doskonałości. Zbiegów ukrywano w miejscach, w których Niemcy najmniej się spodziewali, niemal na oczach gestapowców.

Setki moich rodaków tajna organizacja polska przeprowadziła przez Polskę ku granicy rosyjskiej, gdzie możliwości jej już się kończyły. Wielu z nich dostało się z powrotem do obozów, ale znacznie więcej przedostało się do Rosji, stamtąd zaś do ojczyzny.

Mnie nie udało się przekroczyć frontu rosyjskiego i zostałem w Polsce pod opieką tej niewidocznej a tak potężnej organizacji, znajdującej posłuch wszędzie i u wszystkich. Gościnność polska pozostanie dla mnie wspomnieniem niezapomnianym.

Właśnie w Polsce, my Francuzi, przekonaliśmy się najdobitniej, czym była Francja dla Europy, zwłaszcza dla Polski. Tam na ziemi polskiej zrozumieliśmy jak jej było brak światu, gdy chwilowo legła pod obuchem teutońskim. I tam w Polsce nauczyliśmy się co to jest przyjaźń francusko-polska, jakie jest właściwe znaczenie tych słów.

Tak jesteście wspaniałym narodem, dziś widzimy jak mało was znaliśmy . . ."

WACŁAW SZPERBER

"Conrad" na szlaku walk Pierwszej Dywizji

Marynarz z "Conrada" i dziewczynka z obozu kobiet-żołnierzy Armii Krajowej

Wycieczka dla załogi okrętu stojącego w obcym, w dodatku nieprzyjacielskim porcie, jest gratką tak niecodzienną, jest czymś tak niespotykanym, tak strasznie nęcącym, że gdy przyszło zaproszenie wystosowane przez kolegów z Pierwszej Dywizji Pancernej, nasz Z.D.C. /Zastępca Dowódcy Okrętu/, miał nielada kłopot z wyłapaniem trzydziestu przedstawicieli, którzy byliby — niech mi to będzie wolno w ten sposób określić — godni takiego wyróżnienia, nie przynieśli złej opinii okrętowi i nie sprawili wielkiego kłopotu gospodarzom. Celem wycieczki było ściślejsze nawiązanie kontaktu z Pancerniakami, zwiedzenie obozu polskiego w Haren i obozu kobiet Armii Krajowej. Czyż można się dziwić, że cała załoga chciała jechać?

Oficerowie po prostu pociągnęli zapałki; chorąży szukał córki, więc sam siebie zaszeregował do grupy "priority", a reszta? Dla reszty zastosowano tak modne dziś "tajne wybory" i komplet trzydziestu był gotów.

Ruszamy szlakiem końcowych walk Pierwszej Dywizji. Droga z Wilhelmshaven do ich m.p., oddalonego o jakieś sto trzydzieści kilometrów, biegnie krainą płaskich nizin, podmokłych torfowisk i piaszczystych wzniesień. Poprzecinana jest rzekami, kanałami i rowami, nad którymi sterczą dziś nagie kikuty połamanych przęseł mostowych; żółci się świeżo nawiezionym usypiskiem lub wąskim mostem, opieczętowanym znakiem husarskiego skrzydła na dowód, że zbudowała go ręka polskiego sapera, może, a i najczęściej pod ogniem niemieckich dział. Mijamy dwa, zaraz po sobie następujące mosty: "Poznań Bridge" i "Gdynia Bridge". W pewnym momencie droga grubieje rachityczną krzywizną objazdu, by zanurzyć się w świeżym rozkopie toru kolejowego i przebiec po moście pontonowym na rzece Ems.

Drogi w Niemczech są pod stałą kontrolą wojskową, a ludność cywilna, pod nadzorem angielskich lub kanadyjskich saperów, stale pracuje nad ich poprawianiem. Każdy szlak łączący ważne ośrodki wojskowe nosi specjalną nazwę, jak: "TIN", "IRON", "PEARL", "DIAMOND" lub inne. Nazwy tych dróg umieszczone są na mapach sztabowych, drukowanych w Anglii jeszcze w roku 1942. Każde rozwidlenie zaopatrzone jest w tablicę orientacyjną z nazwą drogi.

Wycieczka nasza została rozbita na mniejsze grupy, udające się do poszczególnych oddziałów wchodzących w skład Pierwszej Dywizji. I tak: część jedzie do Pancernych, część do 10 Brygady Kawalerii, reszta do Trzeciej B.K. Należę właśnie do tej reszty. Dowódca naszej grupy skręca z głównego szlaku wiodącego z Wilhelmshaven do Papenburga, z zamiarem pokazania nam miejsc, gdzie Trzecia B.K. stoczyła ciężkie walki.

Wjeżdżamy w kraj częściowo zniszczony wojną, o gorszych drogach, o większej ilości pozrywanych mostów, przepustów, pełen lejów po powysadzanych już minach. Ślady wojny widać na każdym niemal domu. Zniszczone dachy, rozbite pociskami artyleryjskimi ściany, spalone zabudowania. Nawet stojące samotnie domy odosobnionych farm, były punktami obronnymi walczącego o każdy metr kwadratowy Wermachtu.

Oglądamy taki jeden *"Wirtschaft"*, pytając się o dalszą drogę. Jechać dalej nie można. Może generał Maczek ze swoimi saperami mógłby przejść tak poważną przeszkodę, jak kompletnie, bez śladu zniesiony most. My jednak nie mamy ani Maczka, ani jego sapewrów. Wypada więc wrócić do głównego papenburskiego szlaku. Tracimy na to dwie godziny czasu. Nie psuje nam to jednak humorów, choć strasznie zaostrza apetyty.

Coraz częściej spotyka się wywieszone na domach biało-czerwone flagi, jako znak, że w tym domu stacjonuje polski żołnierz, lub mieszka Polak zesłany ongiś na przymusowe roboty. Coraz częściej spotyka się ich idących drogami we wszystkich kierunkach Niemiec. Każdy ma biało-czerwoną baretkę wpiętą w klapę marynarki, lub takąż opaskę na rękawie. Litera "P", jako nieodzowna część ubioru, znikła z chwilą przybycia wojsk polskich. Wymieniamy z nimi radosne uśmiechy powitania, by za chwilę odbierać je od setek innych. Droga do Lathen, naprawdę była pełna uśmiechów polskich.

Jesteśmy wreszcie na miejscu. Pierwszy kontakt z tymi, którzy przyszli spod Falaise. Co o Was pisać Kochani Koledzy? Czy przypominać po raz już nie wiem który wasze walki od Caen aż do Wilhelmshaven? Nawet nie będę próbował. Nie umiałbym oddać tego wszystkiego coście zrobili, coście przeszli, ilu straciliście towarzyszy. Pisali o tym mocniejsi w piórze i ci, co widzieli to wszystko na własne oczy. Nie potrafię nawet zebrać w jedną całość opowiadanych przez Was fragmentów, w których nie wyczuwało się ani cienia przeżyć osobistych, ani cienia sławiącego bohaterstwa jednostki. Słyszałem tylko: "nasz Oddział . . . nasza Pancerna . . . nasi zaperzy . . . nasi chłopcy" . . .

Siedzieliśmy słuchając Was z pootwieranymi gębami, by nie uronić ani jednego słowa. Miejscowości, o które staczaliście najzaciętsze w tej wojnie walki, w opowiadaniach Waszych malały do rzędu nic nie znaczących stacyjek kolejowych, niemile pamiętanych tylko z powodu . . . przesiadki. A my wiemy, żeście szli krwawiąc obficie i ten "Nasz Oddział", tę "Naszą Pancerną" okrywaliście aureolą niezwyciężalności, tworząc legendę "Dywizji taranowej", dla której nie ma przeszkód, ani niepokonanego nieprzyjaciela. Nie, nie będę o tym pisał. Niech pieśń to wyśpiewa. Wolę już pisać o rzeczach ludzkich.

Siedzieliśmy gwarząc. A że niemaż biesiady żołnierskiej bez piosenek, popłynęły piosenki. Najpierw nieśmiało, potem coraz mocniej, coraz serdeczniej, bardziej swojsko. Wy śpiewaliście nam nasze marynarskie, my z kolei — jakie tylko umieliśmy. Była i o piechocie "Co bez lampasów i w szarym stroju", i o "Ułanach malowanych dzieciach" i wreszcie, nie ze smutkiem, nie z jakimś gorzkim zwątpieniem, ale ze straszną wiarą w głosie, pełnią żołnierskiej piersi "Zaprowadzisz nas wojenko do polskiej wioski". Miły, niezapomniany dzień. Nie, to nie był tylko kontakt. To było mocne zaciśnięcie łączących nas więzów, wyrażanych tak ważkim dla nas obecnie hasłem "RAZEM".

Czas leci szybko. Ruszamy na zwiedzenie obozu Armii Krajowej. Dziwne wzruszenie łapie nas za serca, gdy widzimy dziewczęta, co to ledwie od ziemi odrosły, a już przeszły najcięższe doświadczenia życiowe. Onieśmieliły nas po prostu, wytwarzając jakiś podświadomy kompleks niższości. Gdyby tak istniała jakaś jednostka miary przeżyć i doświadczeń ludzkich, jednostka miary tragedii, rozpaczy i samozaparcia, może wtedy ktoś z nas mógłby mierzyć się z nimi. Cóż więc w danym wypadku większego być może nad podziw?

Lecz na miły Bóg dziewczątka, zapomnijcie już o wojaczce! I ty Zosiu, co masz lat szesnaście, choć napewno wyglądasz na osiemnaście i ty Jolu, co mówisz o sobie, że masz lat dwadzieścia, a wiem że sięgasz zaledwie osiemnastu i ty Droga Pani, której śnieżna zamieć bezdomnych w Polsce zim dotychczas jeszcze we włosach pozostała — zapomnijcie o żołnierce. To już nie dla was. Są inni, są mocniejsi.

Opowiadał mi jeden z oficerów, że gdy na drugi dzień po ich uwolnieniu odnalazł córkę swego przyjaciela i zapytał czego potrzebuje, otrzymał jednym tchem wyrecytowaną odpowiedź — "Pistolet Vis, bagnet, tornister i hełm". Dziewczątko serdeczne! Bielizny potrzebowałaś, chleba, mydła, grzebienia i odpoczynku. A gdy to jeszcze raz powiesz, będę wiedział, że potrzebujesz matczynego klapsa. Zapomnijcie o wojnie!

Obóz Kobiet Armii Krajowej cieszy się niezwykłą frekwencją. Przyjeżdżają tam i ci, co szukają sióstr, żon, krewnych; przyjeżdżają i ci, co chcą zobaczyć drapieżne orlęta o niebieskich oczach i płowych czuprynach z mazowieckiego lnu; przyjeżdżają również i tacy, którym rola opiekuna wypełnić ma pustkę serca i uczuć. Czyżby jednak dla samego dobra "adoptowanych córek i sióstr" nie należało zmniejszyć liczby opiekunów, a pozostałym powiększyć liczbę lat?

Lecz wszystko miłe skończyć się kiedyś musi. Opuszczamy obóz w Oberlangen, by wrócić do Trzeciej B.K., gdzie mamy zatrzymać się na noc. Kolacja w kasynie podoficerskim przeciąga się do północy. Rankiem odjazd na okręt. Żegnają nas Dowódca Brygady i Szef Sztabu, życząc marynarskiego szczęścia. Żegnają koledzy, z którymi spędziliśmy tak miłe chwile. Już samochód był w ruchu, a jeszcze słyszeliśmy ich "Napiszcie!"

To właśnie co teraz piszę jest ogólnym do was listem. Chciałbym, abyście wiedzieli, jak dobrze czuliśmy się u was. Po powrocie pozostałych grup, wymienialiśmy ze sobą wrażenia odniesione i dzieliliśmy się spostrzeżeniami. Wszyscy jesteśmy niezmiernie zachwyceni waszą gościnnością i uprzejmością. Chcielibyśmy tylko kiedyś widzieć was więcej na naszym krążowniku "Conradzie" i móc, chociaż w małej cząstce odpłacić sercem za serce. I tym z Pancernych i tym z 10 B.K. i tym z Trzeciej.

W szarzyźnie codziennych dni, wycieczka do Pierwszej Dywizji była tematem niekończących się pogadanek na okręcie. Opowiadaliśmy cośmy tylko widzieli i słyszeli i nigdy nie było końca pytaniom. Rozkaz odkotwiczenia i powrót do Anglii przerwał to wszystko. Lecz oto miła niespodzianka. Na dwie godziny przed odkotwiczeniem zjawili się. Instynktem widocznie wiedzeni, jak na pożegnanie, wpadło ich troje, z Trzeciej B.K. Między nimi, plutonowy-kierowniczka świetlicy. Szczerze ucieszyłem się widząc ich na okręcie. Lecz jakże mi było smutno, gdy okręt odbijał od mola, a oni żegnali nas powiewaniem rąk. — "Do zobaczenia Conrad" — wołali.

Do zobaczenia, Trzecia B.K.

STANISŁAW SIKORSKI

Skrzynka pocztowa

DO P.T. CZŁONKÓW ORAZ PRZYJACIÓŁ BRYTYJSKO-POLSKIEGO KLUBU KORESPONDENCYJNEGO

Serdecznie pozdrawiamy i przypominamy się łaskawej pamięci. Nasz Klub żyje, cieszy się dobrym zdrowiem, nawet powoli rośnie. Oddaliśmy właśnie do druku drugą z kolei listę członków — mamy ponad 400 nowych przyjaciół. Jeśli drukarze nie zawiodą, będziecie mieli ich adresy około 25 lipca. Przewaga po stronie brytyjskiej tym razem. Trudno, nasi mili rodacy są przeważnie zajęci wylewaniem gorzkich łez. Mieliśmy tylko jedną bardzo miłą niespodziankę: Warszawianki z obozu w Oberlangen — żołnierze Armii Krajowej — przyszły nam z poważną odsieczą, zwiększając nasze szeregi o 26. Uczą się na gwałt angielskiego, chcą pisać o Polsce, Warszawie. Może ich przykład porwie nasze koleżanki na wyspach brytyjskich? Chcielibyśmy wierzyć — lepiej późno niż nigdy.

W Klubie naszym praca idzie zupełnie nieźle. 1300 osób to już jest coś, minimum 1300 listów na miesiąc. Otrzymujemy z terenu liczne wyrazy zadowolenia, uznania, zachęty — nowe pomysły usprawnienia pracy. Zgrzytów poważniejszych nie zanotowaliśmy, choć rzecz jasna nie wszystko idzie jak z płatka. Miss E. pisze n.p. do nas: *"M. had a letter from a Polish boy saying: I shall never forgive the English; they have betrayed Poland, sold half of her to Russia, and set up a Russian government in what remains"*. Co myśleć o tym? Co myślę ja sam o sednie sprawy — nie powiem. Ale powiem, że psu na budę przyda się święty gniew i oburzenie naszego patrioty w liście do Angielki. Wielkiej Brytanii gniew ten napewno nie zaszkodzi; naszej sprawie — kto wie? Strasznie porywczy i nieokiełznani są ci nasi rodacy: albo przyjaźń do grobowej deski, albo śmiertelna obraza. Wszystko można, moi drodzy, powiedzieć, tylko trzeba zastanowić się trochę w j a k i s p o s ó b powiedzieć, a efekt będzie daleko większy. Ja bym może powiedział coś w ten deseń: "Trochę mi przykro i głupio, moja kochana. Bo jak sama zapewne wiesz, ktoś ściskał rękę naszemu generałowi Sikorskiemu w r. 1940 i mówił, że teraz jesteśmy przyjaciele na śmierć i życie: że albo zginiemy razem albo razem zwyciężymy. A co wyszło ostatecznie? Mówią nam teraz: wynocha, w góry Irlandji! Dlaczego do Irlandii? Jabym chciał wrócić do mego własnego domu w Koziej Wólce".

Ale nie róbcie znów tragedii, moi kochani, z tego, że jeden z naszych rodaków napisał kilka niezręcznych słów. Ostatecznie nic złego się nie stało a przytaczam te słowa jedynie jako przestrogę, że gniew i oburzenie nic nam nie pomogą. Przed trzema laty pisała do mnie jedna wcale mądra Angielka: *"It is of little use appealing to our political conscience because we have none; an appeal to our sense of decency is much more effective"*.

Moi Kochani. Jest nas chmara wielka, samych żołnierzy coś koło ćwierć miliona. Może nie każdy z nas, ale z pewnością wiele, wiele tysięcy umie się jako tako po angielsku czy po francusku wysłowić. Wojna z Niemcami skończona, jesteśmy "bezrobotni". Dlaczegóżby zamiast wzdychań i łez nie zabrać się do jakiejś planowej roboty dla dobra Polski na terenie angielskim. Warunki? Bardzo dobre. Większość z nas ma lub może mieć bezpośredni kontakt z Anglikami. Fala brytyjskiej serdeczności dla Polski bynajmniej nie opadła wbrew temu, co wielu z nas myśli; prawdą jest, że prawdziwych przyjaciół nie mieliśmy aż tak wielu, jak się to naszym optymistom wydawało; reszta to "ciemna masa", ale bynajmniej nie taka zła, jak się to wielu z was wydaje, tylko że masa ta nic nie słyszała o Polsce, bo nikt ze słowem polskim do niej nie dotarł a w dodatku masa ta była i nadal jest jest karmiona tendencyjnami wiadomościami o nas.

Że nie jest aż tak źle z owym rzekomym zanikiem sympatyj brytyjskich dla Polski, dam wam choćby taki przykład: Anglicy jak wiecie nie mają specjalnych skłonności do nauki języków obcych, zwłaszcza takich, które nie dają widocznych korzyści; tymczasem ja sam jeden, mały i skromny człowiek, mogę dać wam adresy pół tysiąca osób brytyjskich, które chcą nauczyć się polskiego /pomijając owe osiem czy dziewięć tysięcy, które według notatek prasowych już uczą się naszego języka/. A dlaczegoż by mieli się uczyć, skoro wszyscy Polacy mają być wywiezieni na Sybir i tam doszczętnie wytępieni? Widocznie Anglicy sądzą, że aż tak źle z Polską jeszcze nie będzie i że język polski może się jeszcze na coś przydać, chcą poza tym poznać kto są ci Polacy, co są oni warci, jaki jest ich kraj, i t.d. i t.d.

Tylko my sami, jaśnie oświecona masa polska, ruszmy choć palcami i pomóżmy Anglikom poznać nasz kraj, nasz naród, naszą historię, naszą mowę. Nie paplajcie ustawicznie w kantynach przewyborną angielszczyzną, że chcecie t i i, c y g a r e t i t.d., ja osobiście często proszę o papierosy lub herbatę; po ośmiu czy dziewięciu zabiegach tubylcy już wiedzą co znaczy herbata, woda, papierosy, zapałki, dzień dobry — i rodzi się w nich chęć nauczenia się więcej.

A chcecie dla przykładu kilku prawdziwych angielskich przyjaciół? Oto co piszą różni Anglicy do mnie: *I am heartbroken about Poland.* Lub: *I am so horrified about all this Polish business.* Lub: *I am ashamed of being an Englishman.* Lub: *If anyone attacks Poland in my hearing, I am not slow to defend her; my personal opinion is that the back Poles themselves are damning their own cause; nevertheless, I would back Poland against the whole world, if necessary.* A wreszcie inny list, prawdziwa perła: *I feel I should like to take on Polish nationality to identify myself with the Polish nation.*

Tak to jest piękne i wzruszające, te wszystkie dowody prawdziwej serdeczności i przyjaźni do nas. Ale nie sądźmy, że sto czy dwieście tysięcy brytyjskich przyjaciół potrafi obronić Sprawę Polską. Musimy my sami, ćwierć czy pół miliona, zdobyć się na jakiś zbiorowy czyn zamiast wylewać łzy i złorzeczyć. Musimy iść w masy angielskie i głosić im prawdę o Polsce. Niech każdy z nas robi co może na własną rękę, ale jeszcze lepiej będzie, jeżeli zdobędziemy się na zorganizowany czyn zbiorowy. Czynów takich może być cały szereg; każdy z nich będzie dobry, jeżeli będzie zamierzał do jednego i tego samego celu. Jedną z prób takiego zbiorowego wysiłku jest Brytyjsko-Polski Klub Korespondencyjny, założony w końcu kwietnia b.r.

Klub nasz rozwija się zupełnie pomyślnie: pod koniec czerwca mieliśmy z górą 1300 członków, w tym prawie połowa Polaków. Nie jest to dużo, ale na początek dobre i to. Do końca bieżącego roku chcielibyśmy podwoić ilość członków. Ze stroną brytyjską trudności nie będzie, gorzej jest znacznie z naszym własnym, przysłowiowym słomianym zapałem. Liczymy na pomoc polskich członków Klubu, że pozyskają dla akcji naszej nowych kolegów i koleżanki — tych ostatnich mamy rozpaczliwie mało.

Kierujemy apel do wszystkich czytelników "Polski Walczącej": kto nie boi się drogą cierpliwej pracy, kropelka po kropelce, drogą nieznacznego zresztą wysiłku /1 — 2 listy na miesiąc/, przyczynić się do pogłębienia wiedzy o Polsce wśród społeczeństwa brytyjskiego, niech pisze do nas. Znajdziemy dla każdego kawałek dobrej roboty dla osób od lat 16 do 60, dla uczonych z kilkoma dyplomami do szarych ludzi ze szkołą powszechną tylko, ale z jaką taką umiejętnością pisania po angielsku lub po francusku. Nie wymagamy żadnej specjalnej wiedzy o Polsce: sam fakt urodzenia i zamieszkania w Polsce wystarczy w naszym pojęciu, aby móc Anglikom coś kolwiek o kraju naszym powiedzieć; a powiedzieć wystarczy jedną rzecz tylko w obecnej sytuacji: że to jest nasz własny kraj i że o jego losach tylko my sami mamy prawo decydować.

Adres naszego Klubu jest: The British-Polish Correspondence Club, 3, Novar Crescent, Kirkcaldy, Scotland. Pisać do nas można po polsku, jako że sekretarz Klubu jest niżej podpisany. Znaczek na odpowiedź przyjmiemy z wdzięcznością, ponieważ Klub jest imprezą deficytową, finansowaną z bardzo skromnych opłat członkowskich oraz z drobnych ofiar ludzi dobrej woli.

Mile raz jeszcze pozdrawiamy i czekamy na setki listów.

W. Swicz

TOWARZYSZ BRONI

Polscy myśliwcy w Wielkiej Brytanii

Odznaka lotnicza

Bitwa o Wielką Brytanię, w której polskie lotnictwo myśliwskie wzięło tak wydatny udział, była wysokiej klasy egzaminem naszych pilotów-myśliwców.

Stopniowo, coraz więcej przybywało dywizjonów myśliwskich. Już na wiosnę 1941 roku, w londyńskim rejonie operacyjnym, została utworzona polska jednostka taktyczna wyższego szczebla. Stało się nią I polskie skrzydło myśliwskie. Dalsza rozbudowa doprowadziła do powstania II polskiego skrzydła myśliwskiego z Dywizjonem Poznańskim na czele.

Dorobiliśmy się wówczas, w zakresie lotnictwa myśliwskiego, siedmiu dywizjonów myśliwskich dziennych i jednego nocnego. I skrzydło latało na samolotach typu "Spitfire", działając z rejonu Londynu i obejmując trzy dywizjony. II skrzydło, również o trzech dywizjonach, posługiwało się "Hurricanami", mając lotniska w południowej Anglii, w hrabstwach Devon i Dorset. Oba skrzydła brały udział w akcji przeciwko bazom nieprzyjacielskim, oraz w osłonie wypraw bombowych. Dywizjon nocny "Lwowskich Puhaczy" startował z rejonu Exeter, stojąc w porze nocnej na straży portów i przechodzących konwojów morskich.

Do końca 1941 roku polscy myśliwcy zestrzelili 174 samoloty nieprzyjacielskie napewno. Stanowiło to 18 i pół procent zwycięstw wszystkich jednostek sojuszniczych na froncie zachodnim. Prawdopodobnie zestrzelono 45 i pół maszyny nieprzyjacielskiej, a uszkodzono 46. Najbardziej efektowny dla myśliwców był grudzień tego roku, kiedy Polacy zestrzelili 42 i pół procent wszystkich zestrzelonych tego miesiąca samolotów nieprzyjacielskich.

Polskie maszyny myśliwskie, startujące z baz brytyjskich, biorą w tym czasie z całym poświęceniem udział w każdej operacji. Odpędzają maszyny wroga od miast brytyjskich, uniemożliwiają Niemcom głębszy wgląd w teren.

W sierpniu 1942 roku odbywa się wyprawa desantowa pod Dieppe, po tamtej stronie kanału. Pięć polskich dywizjonów myśliwskich uczestniczy w tej akcji wspólnie z Lotnictwem Królewskim. Polskie dywizjony strącają wówczas napewno 16 samolotów niemieckich na ogólną sumę 82 strąconych. Procentowo — to polskie zwycięstwo nad Dieppe przedstawia się następująco: Polacy stanowią 9 procent biorących udział w akcji jednostek, a osiągają 20 procent zwycięstw i ponoszą 2 procenty strat własnych.

Cyfry, które mówią o bojowej działalności naszych myśliwców — są obrazem rzetelnego wysiłku bojowego. Polskie lotnictwo myśliwskie, startujące z baz brytyjskich, od chwili przybycia do Wielkiej Brytanii, do końca trzeciego kwartału 1943 roku zapisało na swój rachunek:

—605 i jedna czwarta maszyn niemieckich zestrzelonych z całą pewnością, obok 159 strąconych prawdopodobnie, oraz 208 i jedna szósta uszkodzonych. Jeśli, oprócz utraty sprzętu, porachujemy straty ludzkiego personelu "Luftwaffe" — przekonamy się, jak świetnie swe zadanie spełniało nasze lotnictwo myśliwskie, działające z baz brytyjskich.

Można myśleć, że duch bojowy naszych dywizjonów rósł w górę, ponieważ patronami owych dywizjonów stały się tak mężne miasta Polski jak Lwów, Wilno, Warszawa i wiele, wiele innych.

Biało-czerwona szachownica na samolotach polskich

Tworzenie Armii Krajowej

Jedynym z najechanych przez Niemców krajów, który nie poddał się ani przez chwilę, nieubłaganie, nieprzerwanie walcząc o wolność — jest Polska. Zbrojnym ramieniem Polski Podziemnej stała się Armia Krajowa, inaczej: Siły Zbrojne w Kraju, które przez pięć lat tajnego organizowania się i nieustannego ponoszenia strat w boju — objęła blisko 300,000 żołnierza gotowego na wszystko w imię Polski. Toż to jest, według naszych, tutejszych obliczeń, 15 dywizyj piechoty.

Obecny Wódz Naczelny Polskich Sił Zbrojnych gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski, był przez długi okres czasu Dowódcą Sił Zbrojnych w Kraju, i jako taki, nakazał wykonanie "Burzy" /to znaczy miejscowych powstań/ w chwili wycofywania się Niemców z Polski, oraz prowadził ofiarną walkę w Warszawie.

5 października 1939 roku zamilkło ostatnie pobojowisko w Polsce. Lecz równocześnie, niezależnie od siebie, tworzyć się poczęły pierwsze zaczątki kryjomego ruchu zbrojnego. Rozrosło się to potem do pułków, brygad i dywizyj. Były to pierwociny sławnej następnie na cały świat Armii Krajowej.

Komenda Główna dla ruchu wojskowego w Kraju powołana została przez Rząd R.P. w Paryżu już w listopadzie 1939 roku. Jej komendantem był gen. broni Kazimierz Sosnkowski.

Pod koniec czerwca 1940 roku Komendantem Głównym dla całego ruchu wojskowego w Polsce został gen. Grot. Niemcy ujęli gen. Grota podczas obławy w rejonie Placu Narutowicza w Warszawie, i od lata 1943 roku stanowisko to objął gen. Tadeusz Bór-Komorowski. Kiedy po powstaniu warszawskim gen. Bór dostał się do niewoli, jego miejsce zajął aż do czasu rozwiązania w lutym roku bieżącego Armii Krajowej przez Prezydenta R.P. gen. Leopold Okulicki.

W marcu tego roku gen. Okulicki został podstępnie aresztowany przez Rosjan i postawiony w Moskwie przed sąd, pod zarzutem — wspomagania Niemców.

Armia Krajowa ma za sobą historię pełną chwały. Organizowała nieustający i najmocniejszy zbrojny opór narodu przeciwko niemieckiemu najeźdźcy. Wykazała się olbrzymią energią. Dopisywało jej szczęście żołnierskie jako zbrojnemu ramieniu Polski Podziemnej.

Przekonamy się z następnego omówienia, jak wielki, jak ważki był wkład Armii Krajowej w dzieło pokonania wspólnego wroga, niosącego zagładę i grabież narodom podbitym.

Na lewo: Rynek w Cieszynie

Cieszyn — stolica Śląska cieszyńskiego

Na prawo: Podcienia na rynku w Cieszynie

Szkoci projektują

Bogactwa i zasoby naturalne Szkocji nie są tak obfite, by można było należycie wyżywić całą czteromilionową ludność kraju. W tym zjawisku tkwi źródło emigracji Szkotów z ojczystego kraju, jak również stąd wypływa fakt, że trzy czwarte ludności skupiło się w pasie środkowej Szkocji, między Edinburgh a Glasgow. Jest to pas silnie uprzemysłowiony. Położone są w nim duże skupienia fabryczno-przemysłowe: stocznie okrętowe, kopalnie węgla, huty oraz inne zakłady przemysłu metalurgicznego. Nawet — fabryki przetworów spożywczych.

Szkoci kochają swój kraj. Któż, jak nie my Polacy, może głębiej odczuć tę miłość i przywiązanie do rodzinnej ziemi? Myśl o przyszłości, o dalszym podniesieniu swego kraju ojczystego zaprząta poważnie umysły ludności. Od szeregu miesięcy, dzienniki szkockie rozważają możliwości inwestycyj powojennych w tym kraju.

Trzy z tych projektów są dyskutowane najżywiej. Albowiem — wprowadzenie w życie tych projektów, w wybitny sposób przyczynić się może do podniesienia kraju.

Budowa wielkiego portu lotniczego na szlaku komunikacji transatlantyckiej, w miejscowości Prestwick, Ayrshire — jest jednym z tych projektów, mogących wybitnie zaważyć na przyszłym rozwoju kraju.

Drugim byłoby bezpośrednie powiązanie komunikacyjne Edinburgha z hrabstwem Fife przez szeroko tu rozlane ujście rzeki Forth. Mówi się o moście kołowym w tym punkcie, a nawet o tunelu pod rzeką. Podobne tunele pobudowano pod ujściami rzek angielskich w rejonie Liverpoolu i Bristolu.

Najgoręcej uzasadnianym, i prawdopodobnie najdonioślejszym w następstwach projektem, jest projekt wykorzystania spadku wód w Highlandach. Chodzi o wybudowanie wielkich stacyj elektrycznych, któreby bez reszty obsłużyły prądem elektrycznym północną część kraju, dotąd najbardziej ubogą i zaniedbaną. Nie ma potrzeby uzasadniania, jakby to dobroczynnie wpłynęło na przyszłość Szkocji. Wszędzie tani prąd elektryczny, uzyskany z zasobów dotąd nie wykorzystanej energii białego węgla — staje się dźwignią postępu.

Projekt ten o wielkim znaczeniu gospodarczym, natrafia na silne sprzeciwy. Przeciwnicy wskazują, że jego urzeczywistnienie może narazić na szwank miejscowy przemysł turystyczny, wyganiając z Highlandów dzikość przyrody i ciszę. Czytałem również w jednym dzienniku szkockim jako poważny argument, że budowa stacji elektrycznych przyczyni się do zniszczenia — wędkarskich atrakcyj tej części Szkocji.

Z najostatniejszych jednak głosów wnosić należy, iż na przekór opozycji wędkarzy — projekt ten, gospodarczo doniosły i bardzo na czasie, może zostać dość śpiesznie a energicznie wprowadzony w życie.

Z miejsc postoju

Komunikat prasowy dla gazet ściennych, wydawany przez Dowództwo Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii — przeszedł na druk. Jest to dla żołnierzy w Szkocji wydarzenie wielkiej wagi. Od czasu zlikwidowania pod koniec 1943 roku "Dziennika Żołnierza" w Glasgow — odradza się w naszych szeregach codzienne pismo żołnierskie, potrzebne dziś bardziej niż kiedykolwiek.

W numerze 95 Komunikatu opublikowano artykuł wstępny pod tytułem "Bankructwo zasad". Artykuł kończy się następująco:

"Nie można bezkarnie gwałcić prawa i sumienia. Gdyby bank angielski ogłosił niewypłacalność — zamieszanie tym wywołane byłoby mniej niebezpieczne, niż ogłoszenie publiczne bankructwa zasad moralnych w życiu międzynarodowym, którego dokonano. Z pobielonych kamieni można wznieść grób wolności Polski i Świata — nie można zbudować świątyni Pokoju".

"Nowiny" /pismo 4 Dywizji Piechoty/ piszą na marginesie ostatnich wydarzeń w num. 64:

"Jeszcze raz postawiono nas w sytuacji, zdawało by się, beznadziejnej. Zostaliśmy osamotnieni. Tak samo jak pierwszego września 39 roku. Znowu samotni, musimy przezwyciężać olbrzymie trudności i znowu walczyć o prawo do wolnego, naprawdę niepodległego bytu.

Stajemy do nowej walki z nowymi siłami.

Posiadamy olbrzymi kapitał: prawo. Prawo, które jest przecie podstawą istnienia wszystkich organizmów państwowych. Utrzymanie zasad prawnych stało się przyczyną wojny. Celem tej wojny było zniszczenie bezprawia. A że tranzakcji z uznaniem nowego rządu dokonano bezprawnie — każdy naród i każdy człowiek, moralnie myślący, musi nas poprzeć i musi nam pomóc w tej walce.

Przede wszystkim jednak musimy liczyć na siebie.

Mieliśmy za sobą okresy ciężkie. Mieliśmy klęski i triumfy. Ale żadna jeszcze klęska nie położyła kresu walce o wolność. Nigdy nie ulegliśmy i nie ulegniemy. Musimy walczyć o nasze cele dalej i jeszcze bardziej zaciekle niż dotychczas. Musimy walczyć zaciekle, bowiem jest nas niewielu, mających możność walczenia otwarcie".

Na Uniwersytecie Edinburskim, dnia 11 lipca 1945 roku, odbyła się uroczysta promocja, podczas której 21 studentów i studentek polskich uzyskało tytuły naukowe. Większość z nich — to nasi koledzy i nasze koleżanki w mundurze, odkomenderowani na studia przez władze wojskowe. Wśród promowanych — trzech uzyskało doktoraty medycyny, a trzynastu ukończyło studia z tytułem magistra medycyny i chirurgii. Wszyscy są wychowankami Polskiego Wydziału Lekarskiego przy Uniwersytecie Edinburskim, najstarszej naszej uczelni akademickiej w Wielkiej Brytanii.

Stopień magistra nauk ekonomicznych uzyskała ochotniczka PSWK, obecnie odbywająca przeszkolenie w szkole podchorążych. Czterem osobom przyznano dyplom w zakresie prawa administracyjnego. Wśród tego grona znaleźli się członkowie teatru żołnierskiego "Lwowska Fala".

Święto pułkowe 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, obchodzone było w roku biejącym w miejscu postoju pułku w Szkocji dnia 11 lipca 1945 roku. Pułk Jazłowiecki ma za sobą wielką tradycję bojową, czego symbolicznym wyrazem jest sztandar, odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Zorganizowany na Kubaniu w 1918 roku — pułk ten zapisał się chwalebnymi czynami zarówno w kampanii 1920 roku, jak i w kampanii wrześniowej. Podczas bojów 1939 roku wchodził w skład Podolskiej Brygady Kawalerii, znajdującej się pod rozkazami armii gen. Kutrzeby. Z Wielkopolski pułk przedziera się przez Puszczę Kampinoską do Warszawy, gdzie do ostatka walczy w obronie Stolicy.

Odbudowa pułku następuje latem 1940 roku w Szkocji, na terenie Lanarkshire. Obecnie 14 pułk Ułanów Jazłowieckich tworzy doskonale prezentującą się jednostkę pancerną.

Dowódca Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii gen. dyw. Janusz Głuchowski, przemawiając na tegorocznym święcie pułkowym, powiedział między innymi: Jesteście, Ułani Jazłowieccy, pułkiem, który nigdy nie zawiódł w tamtej wojnie, pułkiem którego sztandar został udekorowany Krzyżem Virtuti Militari. Pułk, który wówczas nie zawiódł, nie zawiedzie i teraz. Naszym dążeniem — mówił Generał — jest powrót do Kraju, do Polski wolnej i niepodległej, do której chcemy wrócić jako ludzie wolni, jako żołnierze z bronią w ręku.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni" winien docierać do wszystkich.

Pamiętajcie o potrzebach Polaków wyzwolonych w Niemczech. Dary i pieniądze należy przesłać do Polskiego Czerwonego Krzyża: 34, Belgrave Square, London, S.W.1, książki i datki na ten cel do "Światpolu", 38, Wilton Crescent, London, S.W.1.

NA P.C.K.

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £15 oraz czek na sumę £18, razem funtów trzydzieści trzy tyt. składek na P.C.K. zebranych podczas wystawy fotograficznej "Through Polish Eyes" w czerwcu r.b. w Hull. Była to 36-ta wystawa z kolei. W Hull zwiedziło ja 6000 osób.

Paweł Miller

POSZUKIWANIA

BOLESŁAW KRYŃSKI poszukuje rodziny, pozostałej w Polsce /dwóch synów i dwie córki/. Wszelkie informacje proszę przesłać do redakcji "Polski Walczącej".

Rotmistrz H. Cieśliński poszukuje: 1/ WISZ MARIANA, ojciec porucznika Jerzego Wisza był w Palestynie /Nablus Road 8/, podobno wywieziony do Turcji. 2/ Plut. pchor. RYBICKIEGO ZYGMUNTA /był w Hiszpanii jako Olaf Dworakowski/.

Związek Dziennikarzy R.P. poszukuje p. HIERONIMA EDWARDA GRUSZCZYŃSKIEGO, dziennikarza z Brześcia n/Bugiem, aresztowanego przez Sowiety oraz Dr. ALFREDA LENIEWSKIEGO sędziego Sądu Apelacyjnego i wykładowcy uniwersytetu ze Lwowa. Ostatnie znane miejsce pobytu Kijów.

Wiadomości prosimy kierować pod adresem sekretariatu Związku Dziennikarzy R.P., 38, Wilton Crescent, S.W.1.

BOLESŁAW RYCHLICKI z Poznania, No. 45 Transport Group, c/o H.Q. Transport Command, R.A.F. Bushey Park, Teddington, Middx., England — poszukuje krewnych.

KSIĄDZ LEON ZAREMBA, zamieszkały 17 rue Isabeau de Roubaix, Roubaix /Nord/ France, poszukuje swego brata Szczepana, urodz. 10.I.1926 r. w Świeciu n/Wisłą.

MIECZYSŁAW LUBELSKI, Polish Military Camp Northeim /Hanover/, Germany, poszukuje córki Urszuli Podlewskiej i syna Jana.

Osoby posiadające wiadomości o miejscu pobytu lub losie Władysława KUBISZA, b. referenta prasowego Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego, proszone są o zakomunikowanie ich Kołu Ślązaków Cieszyńskich, 91, Queen's Court, Queensway, London, W.2.

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £1,108

W załączeniu przesyłam czek na £2.4.6 tytułem zebranych nagród w czasie zawodów golfowych i bilardowych przez pensionariuszy Domu Wypoczynkowego Polskiej YMCA w Bonskeid, a przeznaczonych na Polaków w Niemczech.

M. Tomaszewski
Kierownik Finansowy

* * *

Przesyłam sh.15 na pomoc Polakom w Niemczech.

Z.P.

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £5 /pięć funtów/ na Polaków uwolnionych z Niemiec.

L.R.M.

Wydział Prac Kult.-Ośw. M.O.N. składa na pomoc Polakom w Niemczech kwotę £4.3.0 uzyskaną ze sprzedaży rzeczy po ś.p. Jadwidze Ignatczenko oddanych do dyspozycji Wydziału".

Szef Wydziału Prac Kult.-Ośw.
Cz. mjr.

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £2.1.11½ /słownie: dwa funty, jeden szyling, jedenaście i pół pensa/ zebraną drogą dobrowolnego opodatkowania się oficerów 16 Komp. Warsztatowej w mies. czerwcu r.b. na rzecz oficerów Polaków, byłych jeńców, uwolnionych z niewoli niemieckiej.

Dowódca 16 Kompanii Warsztatowej
/—/ P. rtm.

Przesyłam Postal Order na sh.10 na Polaków w Niemczech, jako nieprzyjętą ofiarę przez księdza Dziekana w Falkirk.

H.Ł.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £14.14.5½ /czternaście funtów, czternaście szylingów i pięć i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1108.15.7½ /słownie: tysiąc sto osiem funtów, piętnaście szylingów i siedem i pół pensa/.

Ś P

plutonowy SZELĄG JÓZEF
poległ na Polu Chwały pod Cramesnil la Bruyerel dnia 14.VIII.1944 r.
Cześć Jego Pamięci
Dowódca, Oficerowie, i Szeregowi
Oddziałów Wojsk Łączności
Dywizji Panc.

kapral RADOM ADAM
poległ na Polu Chwały pod Jort dnia 17.VIII.1944 r.
Cześć Jego Pamięci
Dowódca, Oficerowie, i Szeregowi
Oddziałów Wojsk Łączności
Dywizji Panc.

szer. KUBSKI BOLESŁAW
poległ na Polu Chwały pod Les Montier en Auge dnia 19.VIII.1944 r.
Cześć Jego Pamięci
Dowódca, Oficerowie, i Szeregowi
Oddziałów Wojsk Łączności
Dywizji Panc.

szer. ARMATOWSKI ZYGMUNT
zmarł w wypadku w czasie pełnienia służby dnia 13.I.1945 r. pod Bredą (Holandia)
Cześć Jego Pamięci
Dowódca, Oficerowie, i Szeregowi
Oddziałów Wojsk Łączności
Dywizji Panc.

ppor.
HAJEK-GARCZYŃSKI EMIL
oficer Łączności Pułku Art. Plotn. zmarł dnia 10.VIII.1944 r. z ran odniesionych w bitwie pod Caen dnia 8.VIII.1944 r.
Cześć Jego Pamięci
Dowódca, Oficerowie, i Szeregowi
Oddziałów Wojsk Łączności
Dywizji Panc.

st. szer. URBAŃSKI WACŁAW
zmarł dnia 30.IX.1944 r. z ran odniesionych w bitwie pod Merxplase (Belgia)
Cześć Jego Pamięci
Dowódca, Oficerowie, i Szeregowi
Oddziałów Wojsk Łączności
Dywizji Panc.

szer. KARPIŃSKI ZYGMUNT
zmarł z ran dnia 17.IV.1943 r. w Meppen (Niemcy)
Cześć Jego Pamięci
Dowódca, Oficerowie, i Szeregowi
Oddziałów Wojsk Łączności
Dywizji Panc.

st. szer. WOJNO ROMAN
poległ na Polu Chwały pod Jort dnia 17.VIII.1944 r.
Cześć Jego Pamięci
Dowódca, Oficerowie, i Szeregowi
Oddziałów Wojsk Łączności
Dywizji Panc.

st. szer. SOBIERAJ ANTONI
poległ na Polu Chwały pod Les Montier en Auge dnia 19.VIII.1944 r.
Cześć Jego Pamięci
Dowódca, Oficerowie, i Szeregowi
Oddziałów Wojsk Łączności
Dywizji Panc.

szer. BUSZCZAK WŁADYSŁAW
poległ na Polu Chwały pod Lipsende (Belgja) dnia 2.X.1944 r.
Cześć Jego Pamięci
Dowódca, Oficerowie, i Szeregowi
Oddziałów Wojsk Łączności
Dywizji Panc.

szer. SAMULSKI ZBIGNIEW
poległ na Polu Chwały pod Vlagtvede (Holandia) dnia 19.IV.1945 r.
Cześć Jego Pamięci
Dowódca, Oficerowie, i Szeregowi
Oddziałów Wojsk Łączności
Dywizji Panc.

1364

Poradnik żołnierski

Ppor. F.

O dodatkach rodzinnych pisaliśmy w "Poradniku Żołnierskim" w numerze 21-szym z dnia 26.V.1945 r. Dla usunięcia powstałego nieporozumienia wyjaśniam, że normy dodatku rodzinnego uległy podwyżce z dniem 1.V.1944 r., przy czym dodatek na żonę od sierżanta do chorążego jest taki sam, jak dla oficera od majora w górę. Dodatek na dzieci jest jednakowy bez względu na stopień żołnierza. Granica wieku dzieci, na które przysługuje żołnierzom dodatek, jest 19-ty rok życia. Prawo do tego dodatku może być przedłużone do 21 roku, jeśli dzieci uczęszczają do szkół, lub w przypadku nieuleczalnej choroby, która powoduje, że pozostają one na wyłącznym utrzymaniu rodziców.

W razie jakichkolwiek wątpliwości radzę zwrócić się do Oficera Gospodarczego oddziału.

St. szer. z cenz. Mik.

Kurs, o który Pan pyta jest organizowany przez *British Council* dla wszystkich żołnierzy alianckich /bez względu na stopień/ w Stratford-on-Avon. Każdy kurs trwa tydzień, w programie przewidziane są wykłady o Szekspirze oraz udział w specjalnych przedstawieniach.

Z kursu może skorzystać tylko kandydat, który zna doskonale język angielski ze specjalnym uwzględnieniem języka epoki elżbietańskiej. Potrzebna też jest znajomość sztuki, teatru i ogólne zamiłowanie artystyczne. W sprawie zapisania się na kurs, proszę zgłosić do Oficera Opieki Oddziału, do którego ma Pan przydział.

Kursy w Stratford-on-Avon będą trwać przez całe lato i jesień.

Podchor. M. C — ki.

Urlopów do Francji nie udzielają Wojskowe Władze Centralne: wszystkie oddziały otrzymały odpowiedni przydział ilości żołnierzy urlopowanych do Francji. W związku z tym w każdym oddziale prowadzi się kolejkę zgłoszonych na urlop do Francji. Pierwszeństwo mają ci, którzy mają rodziny na kontynencie, a nie widzieli ich od paru lat. Radzę zgłosić się z prośbą o urlop do swego Dowódcy. Na terenie W. Brytanii sprawy urlopów do Francji reguluje Dowódca J.W.W.B.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT . . .

PIERWSZA NOC PREMIERA CHURCHILLA W BERLINIE

Mein "Camp-f" . . .

CWANY POLITYK

—Więc ta Szkotka wymówiła pánu mieszkanie! To bardzo brzydko! Ale dlaczego?

—To wszystko przez politykę!

—Nie lubiła Polaków?

—Nie, tylko teraz zorientowałem się w jej polityce — chciała, ażebym się z nią ożenił . . .

TAK MAŁO DO SZCZĘŚCIA

Szkocki "hollidejczyk" wraca z wywczasów i opowiada swoje wrażenia znajomym: — Wierzcie mi, to był mój najpiękniejszy urlop i najmilsze chwile w moim życiu. Gdybym mógł jeszcze w przyszłości pokonać małe trudności jak: stanie w pociągu przez pięć godzin i to w ustępie — następnie zmianę spania z "korytarza" na łóżko w pensjonacie i jeszcze jedzenie z dwóch dań na trzy i w większych porcjach niż dla wróbla, oraz wybranie takiej pory roku w Szkocji, ażeby nie lało, byłbym jeszcze bardziej "happy", niż obecnie! . . .

NASI W LONDYNIE

—Wybiera się pani na wywczasy do Szkocji?

—Mowy nie ma! Nie dość, że tutaj człowiek denerwuje się tą "polityką" to jeszcze tam się denerwować brakiem dachu nad głową . . .

PRZYNAJMNIEJ SZCZERY

—Jaką macie tu funkcję?
—Pilnuję!
—A czego?
—Żeby mnie punktualnie "zluzowali" na kolację! . . .

AUTENTYCZNE

Do Edynburga przyjechał z Paryża pewien lotnik brytyjski. Kochający małżonek — przywiózł żonie w upominku piękny kapelusik paryski z czereśniami.

Na drugi dzień żonusia paradowała w modnym kapelusiku po Princes Str. z jednym z Polaków.

W pewnej chwili obok damy ustawił się mały ogonek malców.

—Po co wy tu stoicie — zapytał Polak.

—Robimy ogonek — po czereśnie! . . .

N. P.

—Mówią, że ostatnie awanse wyszły pod znakiem "N.P."

—To co to znaczy?

—Nagroda pocieszenia . . .

SZCZERY

—Gratuluję panu — zwraca się jeden z majorów do świeżo mianowanego kapitana — doczekał się pan wreszcie tej trzeciej gwiazdki! . . .

—O tak, stale o niej myślałem w biurze przez tych pięć lat w Szkocji i może dlatego tak mało pracowałem . . .

PO PROMOCJI NA UNIWERSYTECIE W EDYNBURGHU

—Panie doktorze, teraz to jakie ma pan plany po skończeniu medycyny?

—Chcę dalej studiować — może prawo, może filozofię — z czegoś trzeba żyć . . .

W OBOZIE P.W.S.K.

—Kto tu kwateruje?
—Ochotniczki do stanu małżeńskiego . . .

ROZMOWA NA CZASIE

—Czy pan umie fotografować?

—Umiem!

—To niech mi pan zrobi zdjęcie do paszportu, ja panu zapłacę!

—A aparat posiada pan?

—Nie!

—To co pan zawraca mi głowę! Panie, ja jeszcze nie jestem pomylony . . .

PRAWDZIWE

—Angielka: — Rządy W. Brytanii, U.S.A. i Chin uznały rząd polski w Warszawie.

—Anglik: — Tak, ale Polacy go nie uznali.

Tekst i rysunki: TONY

POSZUKIWANIE

LIDIA BERNACZEK przebywająca obecnie w Marsylii poszukuje córki MARII BERNACZEK, ur. 29.7.1923 r. w Bydgoszczy. Jeśli ktokolwiek posiada jakieś wiadomości, proszony jest o przesłanie ich do red. "Polski Walczącej".

SPIS RZECZY:

Stanisław Rodowicki: Trzy dokumenty. — *Stanisław Stroński:* Jeszcze Polska nie zginęła . . . — *Zastępca:* Przegląd tygodniowy. — Poradnik żołnierski. — *M. J. Gordon:* Nowości lotnicze. — *Zbigniew Grabowski:* Stany Zjednoczone. — *Aleksander Janowski:* Wokół sprawy powrotu. — *Jerzy:* Ostatni dzień Czerniakowa /II/. — Żołnierze alianccy w Polsce /*Bolesław Piekarski:* Opowiadanie kobiety żołnierza A.K. *Wacław Szperber:* Opowiadanie ex-jeńca Francuza/. — *Stanisław Sikorski:* "Conrad" na szlaku Dywizji Pancernej. — Skrzynka pocztowa. — "Towarzysz Broni" /Polscy myśliwcy w W. Brytanii. Tworzenie Armii Krajowej. Szkoci projektują. Z miejsc postoju/. — Zbiórki. — *Tony:* Werinajsek. — Rysunki i fotografie.

EDYNBURG
2, Drumsheugh Place. Tel. 21712.
Przy Caledonian (Prince's Street) Station na przedłużeniu Queensferry Street.
Księgarnia Polska
"CO SŁYCHAĆ"
Otwarta od 9 rano do 17.30 bez perzerwy.
Posiada obfity wybór książek, broszur polskich i angielskich o Polsce. Słowniki i podręczniki szkolne. Kalendarze ścienne i kieszonkowe. Upominki, orzełki, Polandy oraz wszelkiego rodzaju dystynkcje i odznaczenia wojskowe. Sprzedaż gazet i czasopism.
Zamówienia z prowincji załatwiane szybko i sprawnie.

ORBIS
ORBIS (London) Limited
dawniej M. I. KOLIN (Publishers) Ltd.
KSIĘGARNIE POLSKIE
w LONDYNIE: 9, NEW OXFORD STREET, W.C.1. Tel.: HOL 0868.
w EDYNBURGU: 31a, CASTLE STREET. Tel.: 24705
w DUNDEE: 24a, COWGATE.
posiadają na składzie wszelkie polskie nowości wydawnicze, książki angielskie dotyczące zagadnień polskich, nuty, słowniki, podręczniki szkolne oraz dzienniki i czasopisma polskie.
Księgarnia w Edynburgu posiada duży wybór upominków, dystynkcje, guziki, "Polandy" itd.
Zamówienia pocztowe wykonywane są natychmiast. 326

WYDAJE SŁUŻBA OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

Pani MARJA POPŁAWSKA, WŁADYSŁAWA ze Słotwińskich CZYSTOWSKA, lat 27, pani CZYSTOWSKA i panna TARGOSZ poszukiwane. Były 2 października 1944 r. ewakuowane z Warszawy /Żolibórz/ do obozu przejściowego w Pruszkowie, a potem prawdopodobnie do Ravensbrück. O jakąkolwiek wiadomość uprasza się listem do BRITISH MONOMARK, LTD., BM/POLSKI, LONDON, W.C.1.

ORACZ BOLESŁAW poszukuje Helenę ŻELAZKO z Warszawy, Grochowska 331, m. 23 oraz krewnych i znajomych. Wiadomości proszę nadsyłać na adres: 85, Albert Street, London, N.W.1.